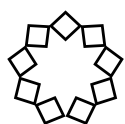


# *Opowiadanie*

*Nr 6, jesień 2017*



WYDAWNICTWO  
IGLOO

*Biedrzycki, Czapliński, Felberg-  
-Sendecka, Fiedorczuk, Foks,  
Grzebalski, Hugo-Bader, Janiak,  
Jankowicz, Klicka, Kobierski,  
Kurek, Majeran, Malek, Nowacki,  
Oparek, Podgórník, Poprawa,  
Sendecki, Wiedemann, Wilk,  
Wolny-Hamkało*

Spis treści

4	Alicja i jej króliki	MARTA PODGÓRNIK
6	Krytyk – przyjaciel czy wróg?	GRZEGORZ JANKOWICZ
7	Ja i jakieś ja. Ja i moja matka we mnie	TOMASZ MAJERAN
8	Wróg – nowy system produkcji	PRZEMYSŁAW CZAPLIŃSKI
10	Poznaj świat	ADAM POPRAWA
12	Bloga se załóż	DARIUSZ NOWACKI
14	Firma	AGNIESZKA WOLNY-HAMKAŁO
16	Z BYPASSAMI NA SCENIE	na przykład RADOSŁAW KOBIERSKI
17	Ubojowanie	MARCIN SENDECKI
18	Bez tytułu	PAULINA WILK
20	Tysiąc słów	MARCIN KUREK
21	Literatura jak coach, czyli ja i mój wróg	KAROLINA FELBERG-SENDECKA
24	Manicure	JACEK HUGO-BADER

Wiersze

28	Z demobilu i nie	MARIUSZ GRZEBALSKI
29	Storno	MARCIN SENDECKI
30	Deconstructing Harry	RADOSŁAW KOBIERSKI
31	noir	AGNIESZKA WOLNY-HAMKAŁO
32	*	ADAM WIEDEMANN
33	SZTANDAR, SZTANDAR	BARBARA KLICKA
34	aluminiowa czapeczka	KAMILA JANIĄK
35	Wróg bliźni	MIŁOSZ BIEDRZYCKI
36	R.ż.	NATALIA MALEK
37	PSALM 22	JULIA FIEDORCZUK
38	Pan Stworzenia	JOANNA OPAREK
39	Wymiana i dar. Z dziejów zagrożeń w Polsce, czyli wersja płatna, z bonusem	DAREK FOKS



Ilustracje powstały w oparciu o zdjęcia w domenie publicznej ze zbiorów Narodowego Archiwum Cyfrowego.

s. 3	<i>Burmistrz Kowna Anton Merkis w towarzystwie wiceprezydenta m.st. Warszawy Jana Pohoskiego w czasie zwiedzania warszawskiego ZOO.</i>
4–5	Koncern Ilustrowany Kurier Codzienny – Archiwum Ilustracji <i>Zniszczone budynki nad Sanem w Przemyślu</i> , Wydawnictwo Prasowe Kraków-Warszawa
7	<i>Plażowiczki podczas wypoczynku</i> , Koncern Ilustrowany Kurier Codzienny – Archiwum Ilustracji
8–9	<i>Grenadierzy niemieccy przechodzą przez zamrzniętą rzekę na froncie wschodnim</i> , Wydawnictwo Prasowe Kraków-Warszawa
11	<i>Seminarium Duchowne w Pelplinie. Fragment biblioteki</i> , Koncern Ilustrowany Kurier Codzienny – Archiwum Ilustracji
13	<i>Mężczyzna na szczudłach na molo</i> . Koncern Ilustrowany Kurier Codzienny – Archiwum Ilustracji
15	<i>Matki z dziećmi siedzące na ławce na Plantach</i> . Wydawnictwo Prasowe Kraków-Warszawa
19	<i>Uczestniczki kongresu z Wielkopolski w strojach regionalnych</i> . Koncern Ilustrowany Kurier Codzienny – Archiwum Ilustracji
21	<i>Lokomotywa parowa w otulinie ciągnąca wagony pasażerskie</i> . Koncern Ilustrowany Kurier Codzienny – Archiwum Ilustracji
23	<i>Dziewczynka w bibliotece szkolnej</i> . Autor: Grażyna Rutowska
27	<i>Letni obóz kolonijny Związku Dziewcząt Niemieckich. Ćwiczenia gimnastyczne na piasku</i> . Autor: Greiff; Wydawnictwo Prasowe Kraków-Warszawa
31	<i>Wizyta ambasadora Stanów Zjednoczonych w ZSRR Williama Bullitta w Polsce</i> . Koncern Ilustrowany Kurier Codzienny – Archiwum Ilustracji
35	<i>Plażowicze podczas kąpieli</i> . Koncern Ilustrowany Kurier Codzienny – Archiwum Ilustracji

OPOWIADANIE

Nr 6, jesień 2017  
ISSN 2299-4874

Redakcja: Agnieszka Wolny-Hamkało  
Korekta: Agata Nocuń  
Projekt graficzny: Grzegorz Owczarek, Maciej Kodzis, pillcrow.com  
Ilustracje: Grzegorz Owczarek, Iga Nawara, pillcrow.com

Copyright by the authors  
Copyright for this edition by Towarzystwo Aktywnej Komunikacji 2017

Publikacja w ramach festiwalu *Opowiadania*

OPOWIADANIE  
www.opowiadanie.org  
e-mail: redakcja@opowiadanie.org  
Adres redakcji:  
ul. Popowicka 34/11  
54-237 Wrocław  
tel. 783 783 100

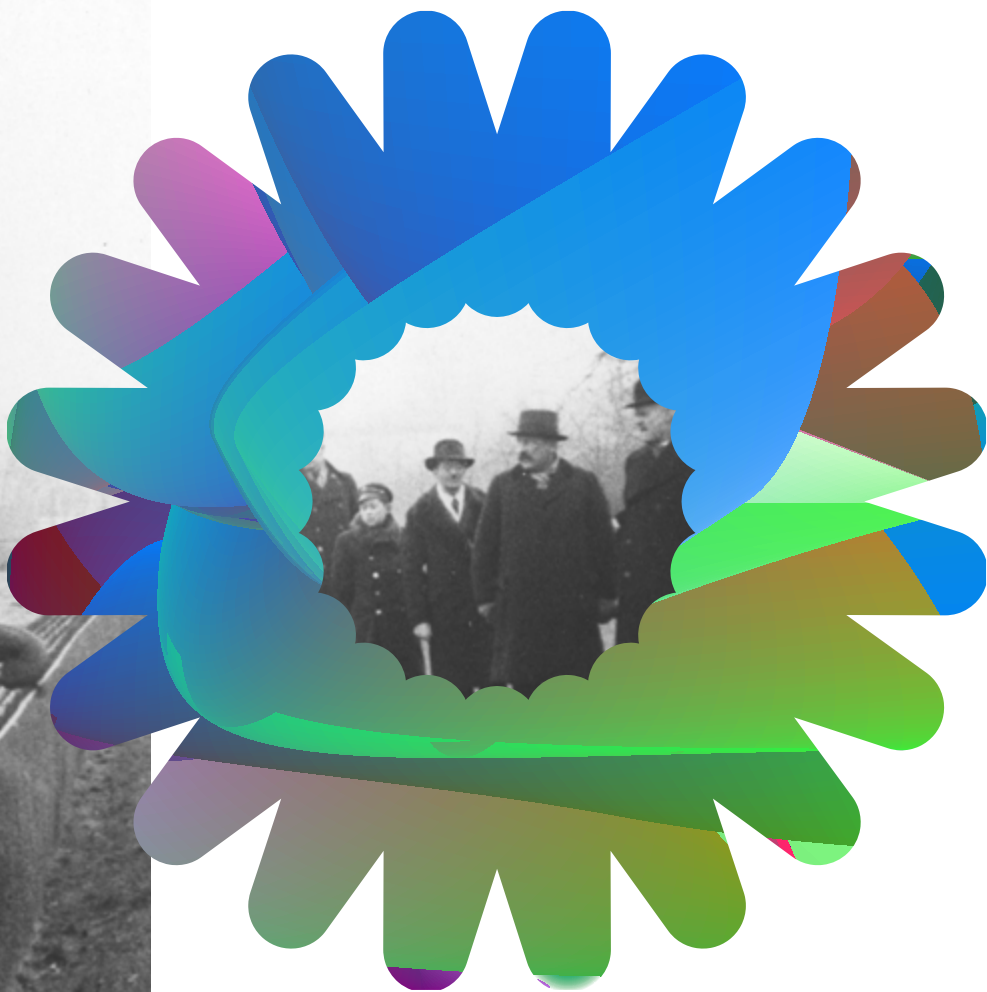
# Ja i mój wróg

Agnieszka Wolny-Hamkało

Wróg pomaga nam wprowadzić do świata zmianę. Na pewnych etapach życia bardzo się przydaje: szerzej otwieramy oczy. Przy wrogu inaczej siedzimy, inaczej mówimy. W towarzystwie wroga sytuacja robi się kryzysowa, a w sytuacji kryzysowej łatwiej o dużo pięknych zdań. Kombinacje słów stają się zwichrowane i smutne. Jesteśmy w pewien sposób podłączeni do systemu nerwowego wroga. To stąd ekscytujące przecucie, że może nam się przydarzyć dosłownie wszystko. Stąd gorączkowa witalność. Gdyby zabrakło wroga – w naszym układzie panowałby bezruch.

Wróg to kluczowa figura w historii literatury. Czym byłaby Biblia bez diabła? Wyobraźcie sobie państwo mity bez wroga, *Odyseję*, *Iliadę*? To wróg zrodził marzenie o świecie bez wroga. To wróg szuka w nas wszystkiego, co pragnie spełnienia – po to, żeby naszym pragnieniom zaprzeczyć. W świecie, w którym nasz ból objaśniają kolorowe pisma – wrogość to ostatni autentyczny fanatyzm. A teraz będziemy go demontować, albo chociaż nazywać, albo całkiem znosić. Ale bądźmy mili dla wroga, bo czasem lokujemy go w nas. Wewnątrz. Jest jak ktoś bliiski: nużący, denerwujący krewny, którego będziemy spotykać na sty-pach, weselach – już zawsze.

Zaprosiłam do współpracy znakomitych pisarzy, krytyków, poetki, poetów – żebyśmy razem popatrzyli z bliska na wroga: zobacz, lubi czarną kawę i oglądać filmy z Garym Oldmanem – zupełnie jak ty. Efektem tej współpracy jest pismo „Opowiadanie”. Weźcie je, proszę.





# Alicja i jej króliki

Marta Podgórnik

Tadeuszowi Dąbrowskiemu

Siadam do tego listu, jakbym siadała na krześle dentystycznym, rozkraczała się na ginekologicznym fotelu w idiotycznej sukience z jednorazowego poliestru, mościła w nieswoim gabinecie prezesa, albo klękała w podartych kabaretkach przy konfesjonale. Albo jakbym się miała własnoręcznie położyć do morgi. Blizny i zadrapania na moim ciele, pierwsze zmarszczki, siwe włosy, truchętka owadów między zeszytami; jakie to wszystko stało się nieważne. Dziś piszę do Ciebie i tylko Ty jeden na calutkim świecie nie przeczytasz listu.

Tamtego dnia, w legendarnym Krakowie, wezwałam taksówkę. Na cito. Co jak co, ale drobne na taksówkę zawsze noszę przy sobie. W razie czego mogłam zastawić medalik w lombardzie, taryfiarze są labilni w takich sytuacjach, a ja mam jeszcze resztki swego wdzięku. Ale nie było potrzeby, starczyło mi dokładnie pod hotel. No dobrze, skoro cała prawda całą dobę, to zahaczyłam o monopolowy.

Tak patriotycznego orła wywinęłam u podnóża schodów, że aż żałuję, że nikt tego nie nakręcił. Przeprosiłam natychmiast świat przedstawiony recepcji, i namacałam przycisk windy. Doturlałam się jakoś do pokoju, z łóżka natychmiast zrzuciłam pościel, i padłam w ulubionej do snu pozycji topielicy, ręce wysoko nad głową, nogi szeroko, no dosłownie zaproszenie do czułego gwałtu przez sen. Nic takiego jednak nie nastąpiło, bo w legendarnym Krakowie jak widać brakuje prawdziwych facetów.

Nieprawda. Płakała całą drogę z Targów, to dobrze, że się nie maluje, bo byłaby burleska. Sam ją wsadziłam do taksówki, i wcale za nią nie zapłaciła. W monopolowym też nie była, miała, co trzeba, w torbie. Wyła jak syrena karetki pogotowia, i nie było możliwości jej uciszyć. Coś bredziła, o tym, że ma krew na rękach. No owszem, potknęła się po drodze z kibla, nawet świętym się zdarza, a ta jej pozał się Chryste sukienka, cała w błocku. Zanim ją znalazłem (dzięki Ci świecie za gps) szlajała się po Plantach jak popierdolona. Rozumiem, żeby jeszcze była pijana, albo coś w tym stylu, ale jej się zachciało grać Virginie Woolf. Nieboraczka waży tyle co nic, przerzucasz przez ramię i nagle spokojnie. Tak, mogłem z nią wtedy zostać w tym zasranym hotelu, nic by się nie zdarzyło, bo z zasady nie dymam zwłok, ale upierała się, nagle trzeźwa jak skowronek, że musi zostać sama, że musi coś tam napisać. A pisz sobie, larwo, pomyślałem, bo już zaczynałem mieć tej szopki powyżej wszystkiego, pisz, pij, płacz, znajdź sobie fordansera na funeralny bankiet, co tam jeszcze, tylko żeby mi psiarnia nie dzwoniła potem po nocy, że się poniewierasz.

Nieprawda. Zapłaciłam za taksówkę wtedy i mam na to paragon. W monopolu też byłam, tylko nie chcieli mnie obsłużyć. Ale nie dlatego, że byłam nietrzeźwa czy awanturująca, po prostu nic nie potrzebowałam. Czekateś na parkingu, paliłeś te swoje obrzydliwe cygaretki, a ja usiłowałam pozbierać swój świat do kupy. I pozbierałam. Jeszcze ze sklepu wydzwoniłam kolejną taryfę. I niech ten palant opowiada co chce, byłam więcej niż kulturalna. Blok, w którym przecież spędziłam

wiele nocy, każda klatka schodowa, każdy trawnik, to samo. Wydzwaniałam jak wściekła z komórki, aż wreszcie usłyszałam ten jego pretenjonalny dzwonek, na jednym z balkonów. To miała być piosenka na mój bal maturalny, to miała być piosenka na mój ślub.

Nieprawda. Nie widziałem się z denatką tamtej nocy, a już tym bardziej nie prowadziłem z nią nic niewnoszących dyskusji przez telefon. Owszem, widzieliśmy się przez chwilę na Targach. Była trzeźwa, skupiona, uprzejma dla mnie i dla innych. Tylko nieco nerwowa. Ale to nie za moją sprawą. Wiadomo, przez kogo płakała. Owszem, między nami coś tam kiedyś było, ale to w ogóle nie ma porównania. Pomiałał ją ile wlezie, łachudra, nie artysta, sam czasem miałem ochotę mu przemówić do rozsądku, tak po facetowsku. Ale ta zawsze go broniła, że trudne dzieciństwo, że trzeba dać szansę, że nie nam być sędziami. To się doigrała. I wcale mi jej nie żal. Rogi mi robiła jak stąd do Wenecji. Nie, cofam to, głupio powiedziałem.

Prawda. Feralnej nocy mogło się wydarzyć cokolwiek. Nie pamiętam, z kim rozmawiałam wtedy przez telefon. Chyba z kimś bliskim, kto kazał mi natychmiast dzwonić po taksówkę i jechać do hotelu. Potem bardzo długo myślałam ręce. Opakowanie od hotelowego mydła rozzerwałam zębami. Nie potrafiłam umyć twarzy. Ani wejść pod prysznic. Było dobrze przed czwartą nad ranem, polewaczki hałasowały, jak zesłałam do recepcji. Nie zjechałam windą, coś mi nie pozwoliło. Miałam na sobie niebieskie dżinsy, w których chodzę na okrągło. Dobre wranglery, nawet jak tyję czy chudnę, zawsze wleżą na tyłek. I czarną bluzkę, taką z sieciowego domu mody, nie lubię wydawać na ubrania, bo przecież nie szata czyni człowieka.

Tamtego dnia na Targach był straszny tłok. Ja bardzo tego nie lubię. Chciałam już do domu. Zatrzymałeś dla mnie taksówkę na ulicy. Trzęsałam się ze strachu przed tym, co może i musi nastąpić po grze wstępnej. Tańczyliśmy, nieprawdaż? W legendarnym Krakowie potykałam się o kostkę brukową, ale dla Ciebie jestem zbyt leciutka nawet na nadbagaż.

Skoro piszę ten list, to znaczy, że u mnie w porządku. Wyjaśniłam wszystkie sprawy, te osobiste, i te majątkowe, nie musisz już się kłopotać. Dokumenty są w drodze, wkrótce je otrzymasz, odeślij po podpisaniu. Jeśli ktoś Cię jeszcze będzie zagadywał w wiadomej sprawie, pošlij go na drzewo. Nie ma żadnych dowodów, poza naszą pamięcią, że cokolwiek się stało. A pamięć, jak wspomniałam, jest nasza, i nic nikomu do tego.





# Krytyk – przyjaciół czy wroóg?

Grzegorz Jankowicz

W sierpniu 2008 r. dwóch amerykańskich poetów – Reginald Shepherd oraz Douglas Powell – prowadziło publiczny spór na temat relacji między poetą i krytykiem. Jako pierwszy głos zabrakł Powell, który w swoim tekście postulował rozdzielenie obu aktywności, argumentując, że twórczość poetycka zasadniczo różni się od twórczości krytycznej. Właśnie dlatego poeta nie powinien zajmować się krytyką literacką, krytyk zaś nie powinien pisać wierszy. Pomieszenie obu funkcji wywołuje rozmaite szkody: nie tylko artystyczne (świadomość krytyczna wpływa ograniczająco na wyobraźnię poety i osłabia jego twórczą moc), ale także instytucjonalne (poeci poddają krytyce innych poetów, co sprawia, że reguły i kryteria oceny obowiązujące w polu literackim stają się niejasne). Dystans między krytykiem a poetą (a szerzej: pisarzem) jest pożądany. I nie chodzi wyłącznie o to, że te dwie funkcje, dwie role nie powinny spotykać się w jednej osobie. Idzie również o to, by ten, kto pisze o wierszu, nie miał kontaktu z tym, kto ów wiersz skomponował. Bliskość między krytykiem a poetą uniemożliwia temu pierwszemu formułowanie obiektywnych sądów krytycznych.

Shepherd zajął stanowisko przeciwne: według niego świadomość krytyczna jest niezbędna do pisania wierszy. Żeby tworzyć poezję, trzeba najpierw poznać jej historię, jej formy oraz jej instrumentarium. Bez oceny wiersza napisanego przez inną poetkę lub innego poetę nie będzie można wymyślić wiersza własnego. Krytyczny namysł nad poezją innych jest podstawą każdego nowego projektu poetyckiego. Relacje między krytykami i poetami powinny być jak najściślejsze, obie grupy współtworzą bowiem reguły tej samej literackiej gry, inicjując niekończące się dyskusje, które obejmują swym zasięgiem wszystkich, także zwykłych czytelników. W tej intensywnej, choć krótkiej polemice pojawiło się kilka interesujących wątków. Po pierwsze – problem łączenia przez osoby należące do pola literackiego dwóch różnych funkcji (funkcji tych może być, rzecz jasna, więcej: poeta, krytyk, wydawca, moderator, organizator etc.). Po drugie – kwestia obiektywności sądów krytycznoliterackich (czy jest tylko mitem, czy też ideałem, do którego wciąż powinniśmy dążyć, a jeśli można ją osiągnąć, to w jaki sposób). Najciekawszy jednak wydaje mi się wątek dotyczący relacji między krytykiem a pisarzem. Co ich łączy? Co dzieli? Powinni się znać i lubić czy raczej unikać i czubić?

Swój tekst Shepherd zaczyna znamienitymi słowami: „Ubóstwiam Douga Powella jako poetę i jako osobę, ale nie mogę się zgodzić z jego niedawnym postem na temat poetów i krytyków”. Dlaczego autor uznał za stosowne, by poinformować nas o skali uwielbienia, jakim darzy osobę, z którą podjął polemikę? Czy to jedynie niewinny gest podtrzymujący więź między przyjaciółmi – symbolicznie ją wzmacniający i sankcjonujący? Czy Shepherd chciał w ten sposób osłabić polemiczną siłę swojego przekazu, by przyjaciel nie poczuł się urażony? A może jest to sygnał, z którego powinniśmy wyciągnąć krzepiący wniosek, że różnica zdań jest możliwa nawet wtedy, gdy ludzie uczestniczących w publicznym sporze łączy zażyłość? Czy nie jest to jednak doskonały przykład zjawie-

ska, o którym pisał Powell: bliska relacja łącząca aktorów społecznych działających w tej samej przestrzeni powoduje, że nie mogą swobodnie wyrażać swoich opinii?

Nie sposób w krótkim tekście rozstrzygnąć powyższych kwestii. Chciałbym zwrócić uwagę na jeden tylko problem, który w dzisiejszych dyskusjach na temat relacji łączącej krytyka i pisarza jest całkowicie pomijany. Chodzi o język, a mówiąc ściśle – o niedowład języka, który pojawia się w sytuacji, gdy między krytykiem a pisarzem zachodzi relacja przyjaźni lub wrogości.

W krótkim eseju o przyjaźni Giorgio Agamben zwraca uwagę na szczególny status semantyczny terminu „przyjaciel”. Wydaje się, że wyraz ten ma niepredykatywny charakter. Czy istnieje zbiór, do którego moglibyśmy przypisać byty określone za pomocą słowa „przyjaciel”? Chyba nie, skoro ów gest – nazywanie kogoś mianem przyjaciela – jest tak subiektywny, że wyklucza jakąkolwiek ogólność. Moi przyjaciele mogą, ale nie muszą być twoimi przyjaciółmi, co znaczy, że kategoria, za pomocą której odnoszę się do tych konkretnych osób, ma sens wyłącznie wtedy, gdy ją wypowiadam. „Biały, twardy, ciepły to z pewnością terminy predykatywne – pisze Agamben – ale czy można powiedzieć, że *przyjaciel* definiuje w ten sposób jakiś spójny zbiór?”

Co zaskakujące, w podobnie niepredykatywny sposób funkcjonują słowa, którymi czasem posługujemy się, by wyrazić swój wrogi stosunek do kogoś. Wyzwiska nie są obraźliwe dlatego, że przypisują ludzi do określonej kategorii, włączając ich do zbioru rzeczywistych bytów. Porównanie człowieka do męskiego lub żeńskiego organu płciowego nie ma mocy predykatywnej. Zniewagi działają skutecznie nie dlatego, że coś oznajmiamy, lecz dlatego, że przypominają nazwy własne, których przeżywanie nie może ani przyjąć, ani odrzucić.

Jaki z tego wniosek? Język przyjaźni i język wrogości cechuje niepredykatywność, co z punktu widzenia krytyka stanowi poważny problem. Etymologicznie „krytykować” (gr. *krinein*) znaczy rozróżniać. Albo jeszcze inaczej: podejmować decyzję, w wyniku której dana rzecz (np. tekst literacki, wiersz, opowiadanie, powieść, esej...) zostaje odróżniona od innych, z którymi przez jakiś czas tworzyła sytuacyjny zbiór. Jeśli zadanie krytyczki/krytyka polega na wydawaniu ocennych sądów pozwalających na wyróżnienie pewnych tekstów literackich, na „wyłonieniu” ich spośród innych, to powodzenie tego przedsięwzięcia w całości zależy od predykatywnej mocy krytycznego dyskursu. To znów oznacza, że by taką moc swojemu dyskursowi zapewnić, powinniśmy zachować dystans nie tylko wobec tekstów, ale także wobec ich twórców (przenoszenie emocji z autorki/autora na jej/jego dzieło jest częścią opisanego powyżej językowego procesu).

Powie ktoś, że sprawny krytyk bez trudu ukryje swój przyjacielski lub wrogi stosunek do autorki/autora ocenianego wiersza lub powieści, zachowując pozór owej dyskursywnej mocy. Ktoś inny powie, że dziś krytyczka i krytyk mają inne zadanie: zgodnie ze słynną formułą Harolda Blooma powinni zakochiwać się w wierszach, a swój gwałtowny afekt wyrażać za pomocą dyskursu pełnego komplementów i/lub inwektyw, czyli kategorii niepredykatywnych, ale za to na wskroś emocjonalnych, decydujących o wyrazistości ich krytycznego głosu, który de facto nie różni się zasadniczo od głosu pisarki lub pisarza. Problem jednak pozostaje i nie ma on jedynie charakteru psychospołecznego, dotyczy bowiem samego języka. Przystępując do dyskusji na temat relacji między krytykiem i pisarzem, powinniśmy być może postawić pewne pytania na tym najbardziej elementarnym poziomie, na który rzadko dziś schodzimy.



# Ja i jakieś ja. Ja i moja matka ze mnie.

*Tomasz Majeran*

Wybrała wolność, kiedy miałem 5 lat, w 1976 roku. Uciekła na Zachód, najpierw do Austrii, potem do Niemiec. Nie powinienem jej pamiętać, a jednak z najwcześniejszego dzieciństwa zachowałem dwa niezwykle wyraźne obrazy, zadziwiające wyspy pamięci w morzu mgieł.

Pierwszy obraz to w ogóle moje najbardziej pierwotne wspomnienie. Idziemy plażą w Gdańsku Oliwie, tato, jego brat, mama i ja. Dzień chłodny, zachmurzony, ale bez deszczu. Mama zatrzymuje się, wyjmując z torby zieloną łopatkę, przykuca i kilka metrów od morza zaczyna kopać w piasku. Tato i wujek, zajęci rozmową, powoli oddalają się, a ja patrzę całkiem zaczarowany, jak na dnie dołka zaczyna pojawiać się woda. Już nigdy potem żadne odkrycie nie zrobi na mnie podobnego wrażenia. „Idź, powiedz tacie”, mówi mama, a ja biegnę przez plażę w objęcia ojca, krzycząc „woda! woda!”.

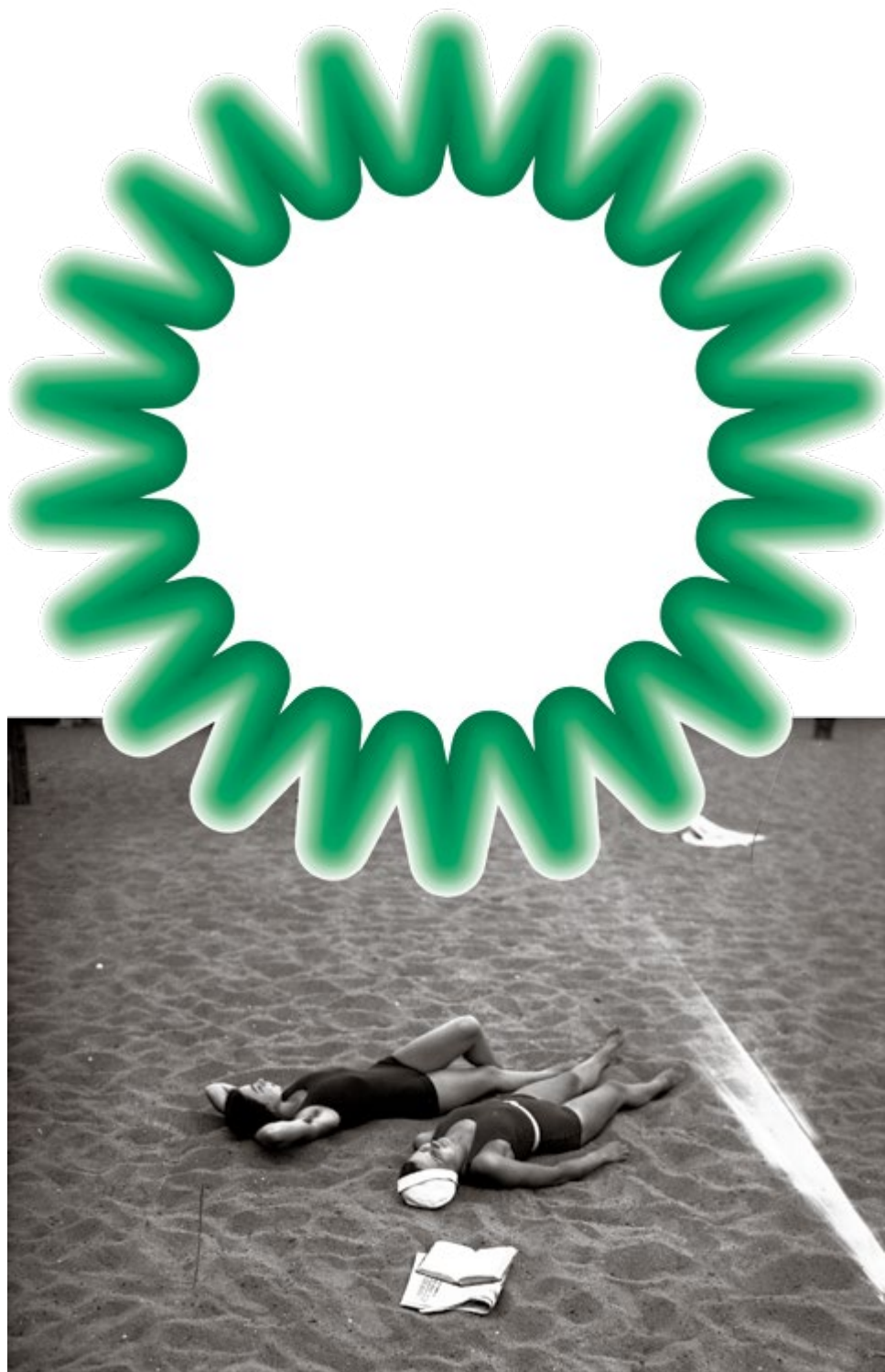
Drugi obraz, wszystko z perspektywy dziecka, czyli jakichś dziewięćdziesięciu centymetrów. Stoję w drzwiach naszego mieszkania. Na podłodze, metr przede mną, leży mama, roztrzęsiona, z twarzą napuchłą od łez, i histerycznie krzyczy do mnie, kilkulatka: „Tomek! Widzisz to? Zrób coś!”. W głębi kuchni przy stole siedzi ojciec, bokiem do nas, zawzięty, papieros parzy mu palce. Poszarpali się. Obraz jest niemal nieruchomy, cała scena trwa raptem kilka sekund, bo szybko zabiera mnie sąsiadka, a ja na kilka lat tonę w morzu mgieł i niepamięci.

(Myślę, że wtedy ojciec odkrył jej machloje w pracy, przekręty i drobne kradzieże, które niedługo później sprawią, że będzie zmuszona zacząć od zera w nowym kraju, w nowym mieście, z nowym mężczyzną. Nie usprawiedliwiam go. Myślę, że na swój egoistyczny sposób do końca życia żałował tego, co się stało – że dał jej ten jeden argument nie do odparcia).

Pierwszy raz odwiedziła nas zimą 1982 roku, jakoś to załatwiła. Mieszkaliśmy wtedy u ciotki na Śląsku. Przyjechali w trójkę, ona, tato i pan Świerkocki, sąsiad, który miał Fiata 125p i przywiózł ich z Wrocławia. Nie poznałem jej, ale ponieważ byłem dość bystrym dzieckiem, szybko domyśliłem się, że powód, dla którego zaangażowali Świerkockiego i teraz tak się na mnie gapią, musi być niebagatelny – i zapewne chodzi o tę obcą, grubą kobietę, która właśnie zaczyna jeszcze bardziej puchnąć od łez. Podbiegłem do niej i przytuliłem się, bo czułem, że spełnię w ten sposób pokładane we mnie nadzieje i społeczne oczekiwania.

Pamiętam, że rozmowa wybitnie nie kleiła się, więc wpadła na pomysł, że dla przetamania lodów da mi kilka dojczemarek do skarbonki. Stałem obok niej z wyciągniętą dłonią, ale tak długo grzebała się z portmonetką i dobraniem odpowiedniej kwoty – za dużo? za mało? marka czterdzieści będzie ok? – że dłoń odmówiła mi posłuszeństwa i zaczęła się febrycznie trząść. I być może wtedy właśnie pierwsza w życiu dorosła myśl: oto odpierdala się tutaj ordynarna korupcja. Uraz został mi do dzisiaj – gdzie tylko mogę, staram się płacić kartą, a jeśli już ktoś wydaje mi resztę, grzecznie proszę, aby położył ją na ladzie.

W następnych latach spotkaliśmy się jeszcze kilka razy, sześć, może siedem. Wykazywała umiarkowane zainteresowanie synami, alimentów nie płaciła, choć od czasu do czasu miewała gwałtowne przy-



ptywy uczuć macierzyńskich – wtedy potrafiła się szarpnąć na kosztowniejszy prezent. Ostatni raz widziałem ją latem 1990 roku, wkrótce potem zerwałem kontakt, bo dość miałem udawactwa i zabawy w synka i skumplowaną matkę. Kilka razy próbowała jeszcze dzwonić, lecz od razu odkładałem słuchawkę, więc szybko odpuściła. Skutecznie udało mi się ją skreślić z mojego życia. Do tego stopnia, że kiedy kilka lat temu wróciłem do domu z pogrzebu taty, pierwsze co pomyślałem, czterdziestoletni, „no to, panie Tomasz, jesteś już sierotą”. Dopiero chwilę później przypomniałem sobie, że przecież ona gdzieś tam mieszka.

Już nie mieszka. Zmarła w lipcu zeszłego roku we Fryburgu.

Straciła przytomność w swoim domu, w przedpokoju, kilka kroków od drzwi. Być może próbowała wezwać pomoc. Nie wiadomo, ile leżała, kilka godzin czy kilka dni. Do szpitala zabrano ją w śpiączce, z której już się nie wybudziła. Wyobrażam sobie, że w śmiertelnym widzie mogła zobaczyć swojego trzyletniego synka w drzwiach:

- Tomek! Widzisz to?
- Tak, mamo.
- Zrób coś!
- Nie.

Dzisiaj na fryburskim cmentarzu odwiedziłem tęczkę, na której bezimiennie rozsypano jej prochy. Chciałem zapalić zniczy, ale pod cmentarzem żadnego nie udało się kupić, zresztą wiatr był zbyt wielki.

Zapalam więc cośaskowe światełko we fryburskiej katedrze, a do skarbonki wrzucam euro czterdzieści. „Masz babo i nie drzyj już ryja. Jesteśmy kwita. Raz w życiu mogłem się na twój grób przejść. I wystarczy” – odpawiam szorstkie gusa, a wzrok sam szuka w kamiennej posadzce miejsca, gdzie można by wbić zieloną łopatkę.

# Wróg – nowy system produkcji

## Przemysław Czapliński

Gdyby jakiś obcokrajowiec przez kilka dni oglądał naszą telewizję państwową, doszedłby do wniosku, że Polska nie ma sojuszników, współpracowników, pomocników. Ma wyłącznie wrogów. Lista jest otwarta i cały czas się powiększa: Unia Europejska, Niemcy, Francja, może Rosja, nawet Skandynawia.

Do tej pory mogliśmy sądzić, że gdyby Polska miała wroga, byłby on żywotnie zainteresowany naszą słabością gospodarczą, niską pozycją na arenie europejskiej, osamotnieniem w relacjach międzynarodowych. Polska osobna, pojedyncza, niepowiązana silnymi układami z innymi państwami – tak wyobrażaliśmy sobie marzenie wroga.

A tymczasem wedle państwowych środków przekazu wrogiem dziś nie jest samotność, lecz niesuwerenność. Suwerenności zaś zagraża każdy, kto sądzi, że powinno istnieć prawo nadrzędne względem lokalnego.

Taka wizja łączy zagrożenia zewnętrzne z wrogami wewnętrznymi. I tych, wedle państwowych mass mediów, przybywa. Pierwszym jest kobieta, drugim – natura. Są jeszcze inni: lewak, liberał, homoseksualista, żyd (a może Żyd?), ale opisano ich już wszechstronnie, więc niniejszy krótki tekst dotyczyć będzie wyłącznie pierwszej dwójki. Spróbuję odpowiedzieć (sobie i państwu) na pytanie, co wiąże „kobietę” i „naturę” jako wrogów państwa polskiego z zagrożeniami zewnętrznymi.

### Zmiana systemu odpornościowego

Miało ich nie być. Wrogowie i wrogość mieli zniknąć. Nie za sprawą czarów, lecz z racji pomyślnego przebiegu historii. Obrady Okrągłego Stołu, wybory do kontraktowego sejmu, upadek komunizmu, koniec Związku Radzieckiego, obalenie muru berlińskiego – wszystkie te wydarzenia nadawały dziejom nowy bieg. Wcześniej, od zakończenia II wojny, historię napędzała energia wrogości: dwa skonfliktowane bloki państw – kapitalistyczny i socjalistyczny – trwały w stanie zimnej wojny. Ale przełom lat 80. i 90. kładł tej wojnie kres. Zgodnie z diagnozą sformułowaną w pamiętnym *Końcu historii* Francisca Fukuyamy ludzkość przechodziła do etapu, w którym model zachodniej demokracji liberalnej nabierał charakteru uniwersalnego. Wszystkie państwa miały podążać w tym samym kierunku, wobec czego wojny nie miały już być potrzebne. Mówiąc w skrócie: nie wysyła się wojsk do państwa, z którym prowadzi się rozległe interesy.

Koniec zimnej wojny oznaczał rewolucję w systemie obronnym organizmów państwowych. Immunologia miała zamienić się w immunosupresję: zamiast pobudzania układu odpornościowego szczepieniami ordynowano tłumienie odruchów obronnych. Czyli: zamiast wrogości i potencjalnego stanu wojny pojawiły się umowy (przede wszystkim handlowe), a potem zaczęto znosić granice i umożliwiano swobodny przepływ ludzi. Europa zamieniała się w obszar powszechnie dostępny – dla ludzi poszukujących pracy, nowego miejsca zamieszkania, innego pomysłu na życie. Świat schyłku XX wieku sprawiał wrażenie rozrastającego się parku turystycznego. Park ten nie był już zamieszkiwany

przez „wrogie siły”, lecz przez „ciekawe społeczności”. W światowym systemie immunologicznym miejsce „ciał obcych” zajęły „ciała podobne”, wobec których nie trzeba już było stosować antybiotyków. Przeciwnie: wydawało się, że powinniśmy stłumić naturalne reakcje obronne organizmów. Alarm immunologiczny prowadzący do natychmiastowego unicestwiania ciał obcych stawał się niekorzystny i niepożądany, bo blokował kontakt z potencjalnym partnerem handlowym albo prowadził do niepotrzebnego strachu przed zagranicznym wyjazdem.

Świat zewnętrzny przestawał być obszarem wrogości, przemieniając się w zbiór podniet do handlu, konsumpcji czy bezinteresownej komunikacji. Złożoną pochwałę takiego świata w polskiej literaturze stanowi powieść Olgi Tokarczuk *Bieguni* – wielowątkowa, konstelacyjna narracja o ludziach, którzy z własnej woli wybierają szlaki wędrówek i momenty zejścia ze szlaku. Jeśli coś im zagraża, to niespodzianka, jeśli coś na nich czyha, to radykalna odmiana egzystencji. Inne nie jest wrogość, lecz intrygujące, ekscytujące, ciekawe.

### Wróg wyobrażony

Świat bez wrogów, za to zamieszkiwany przez ciekawe różnice, nie trwał zbyt długo. Jedni uważają, że kres temu światu przyniósł zamach na Dwie Wieże. Inni – że II wojna z Irakiem. Albo globalny kryzys kapitalistyczny roku 2008. Albo fala protestów społecznych w Hiszpanii i Grecji. Albo późniejsze zamachy terrorystyczne w państwach europejskich. Jeśli ostatnia dekada XX wieku toczyła się pod dyktando Fukuyamy, to początek XXI wieku zdawał się realizować scenariusz wojen kulturowych opisany przez Samuela Huntingtona w *Zderzeniu cywilizacji*.

Kłopot z diagnozą Huntingtona polega na tym, że nie uwzględnia ona różnic wywoływanych i pogłębianych przez globalny kapitalizm. A tymczasem od początku XXI wieku widać było, jak niewielkie są szanse na szybkie dogonienie czołówki państw europejskich przez nowych członków Unii. Po roku 1989 wydawało się, że uczestniczymy w niezwykłej jak na kapitalizm grze o sumie dodatniej: w takiej grze cudzy sukces zwiększa rzekomo nasze szanse. W przekładzie na terminy ekonomiczne: im większy zasięg kapitalizmu, tym wyższe zyski wszystkich. Jednakże kryzys 2008 roku zmienił reguły. Już nie „gra o sumie zerowej” (aby Polska zyskała, ktoś musi stracić), lecz „gra o ujemnej sumie graczy”, w której cudzy sukces wyklucza uczestników. Co więcej, w nowych warunkach zyski ulegały prywatyzacji (90% światowego majątku w rękach 5% najbogatszych), a koszty ryzykownych posunięć były uspołeczniane (dług upadłego banku splota się z naszych podatków). Dlatego w Polsce wzrastała presja na egalitaryzację skromnych osiągnięć i ograniczenie integracji z globalnym rynkiem. Niech będzie średnio dla wielu zamiast wiele dla nielicznych. Wymagało to odizolowania się od świata – nawet jeśli ze świata tego nie dotarły ani choroby, ani terroryści, ani wojny. Stopniowo ludzie „różni” stawali się „obcy”, a więc „opozycyjni”, „konfliktowi”, aż wreszcie „wrodzy”. Określenie „opozycja totalna”, stosowane przez coraz bardziej reżimową władzę, skrótowo oddaje zarówno charakter władzy, jak i użytek czyniony dziś przez nią z języka. Nowy system immunologiczny działa nie pod wpływem realnych zagrożeń, lecz pod wpływem wrogości wyobrażonej. A wyobrażenie to obejmuje wszystko, co mogłoby zachować prawną niezależność względem władzy.

Dlatego wrogiem staje się nie człowiek obcy, lecz Polak zróżnicowany. Obronę przed nim może zapewnić unifikacja. Tylko jednolita postawa większości pomoże wytworzyć potrzebne antyciała. Walka z wrogiem zewnętrznym przenosi się w całości na obszar wewnętrzny.

Oto i nowy system immunologiczny. Wcześniejsze celowe tłumienie odporności wobec ciał obcych zamienia się w celowe wzmacnianie odporności wobec ciał swojskich. Immunosupresja, jako ideologia globalizacji, przemienia się w autoimmunologię – uczulanie systemu na ciała własne i uodparnianie na przejawy własnego życia.

### Kobieta podzielona

Nowa metoda społecznej inżynierii ciał polega na wprowadzaniu szczególnych podziałów. Jeśli „in-dywiduum” jest czymś „nie-podzielnym”, to strategia immunologiczna władzy polega na wytwarzaniu „dywiduów”, a więc ciał wydzielonych z podmiotu i nie podlegających jego woli. Mówiąc inaczej: człowiek zostaje podzielony na to, co należy wyłącznie do niego, i na to, czym będzie dysponowało nowe prawo.

W ten właśnie sposób przekształca się dziś ciało kobiety. Jej autonomia może trwać wyłącznie do czasu osiągnięcia dojrzałości płciowej, potem zaś zostaje ograniczona do powierzchni ciała. „Kobieta po-





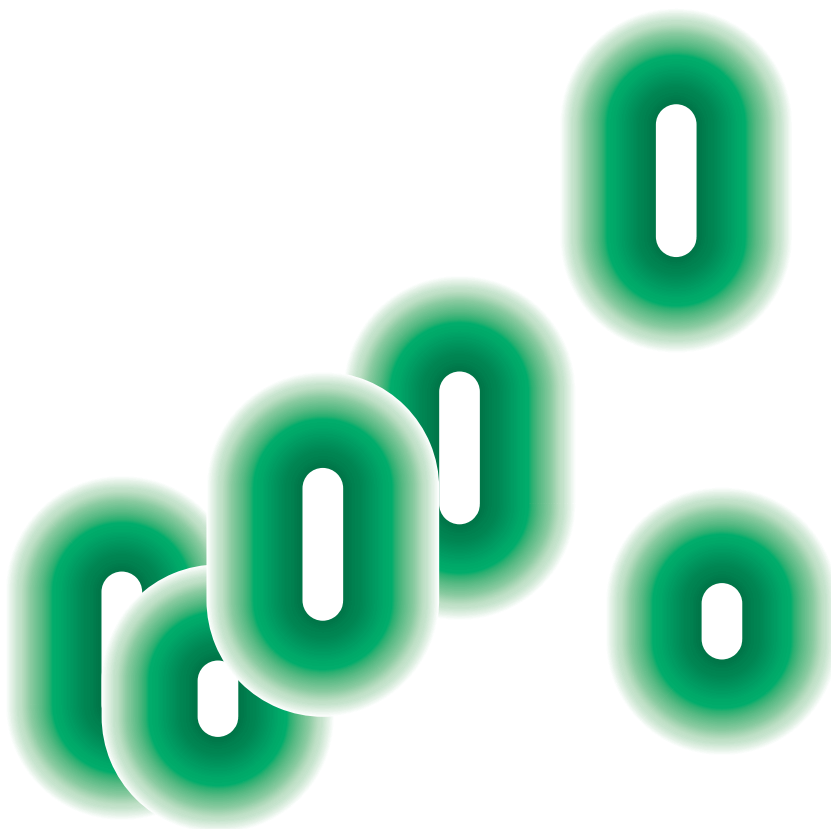
dzielona” będzie mieć prawo do zabiegów kosmetycznych, nie powinna natomiast dysponować swoim wnętrzem. Ogranicza się do minimum środki zapobiegające zachodzeniu w ciążę i zwiększa do maksimum środki ją podtrzymujące. Płód złożony w krypcie kobiecego ciała powinien być chroniony przez osobnego prawnika – adwokata dziecka poczętego. Powołanie takiego adwokata przypieczętuje wrogię przeciwstawienie kobiety i dziecka. Kobieta może bowiem zagrażać dziecku nie tylko poprzez aborcję, lecz także na przykład poprzez picie alkoholu. A ponieważ niemożliwe jest unicestwienie „kobiety wrogiej dziecku”, wobec tego nowe rozwiązanie immunologii społecznej polega na ubezwłasnowolnieniu. Ciało kobiety jako ciało obce zostanie poddane trwałej kontroli, nawet za cenę przymusowego osadzenia w szpitalu. W ten sposób autoimmunologia osiągnie formę skuteczną, potwierdzając, że największym wrogiem Polski jest Polka.

### Natura drugiego stopnia

Drugim obszarem, na którym Polsce zagraża niesuwerenność, jest natura. Parki narodowe i krajobrazowe, a także obszary wydzielone (i finansowo wspierane) na mocy umów z Unią Europejską, stanowią swoisty skandal. Oto lasy, wody, zwierzyna znajdujące się na terenie Polski nie mogą być dowolnie przez Polaków wykorzystywane. Zanim zetniemy drzewo czy zastrzelimy jakiegoś zwierza, musimy zapytać Brukselę o pozwolenie. Jesteśmy we własnym domu, ale ktoś inny za nas decyduje, co w tym domu wolno nam zjeść.

Praktyka zastosowana w tym przypadku polega na zamazaniu granicy między naturą pierwotną i wtórną. Na polecenie ministra wycina się więc drzewa w puszczy, po to jednak, jak słyszymy, aby w tym miejscu zasadzić nowe. Różnica między nimi nie będzie polegała na tym, że „stare” były chore, zaś „młode” będą zdrowe. Wprowadzona zmiana polega na tym, że nowe drzewo, jako posadzone przez człowieka, będzie „naturą drugiego stopnia” – wytworzoną przez ludzi i od ludzi zależną. W ten sposób Polska odzyska suwerenność wewnętrzną wobec własnej natury, zyskując pełną kontrolę nad jej eksploatacją.

Znowu zatem to, co było „niepodzielne” (natura pierwotna), zostało przekształcone w „dywiduum”. I podobnie jak w przypadku ciała kobiecego, natura została wyobrażona jako wróg samej siebie – jako organizm niezdolny do autoregeneracji (korniki w lesie!) i wymagający leczniczej interwencji człowieka. Wedle tej retoryki natura pozostawiona sama sobie zniszczy samą siebie, ponieważ jej system immunologiczny jest wadliwy. Trzeba zatem do natury wprowadzić środki opresji



skierowane przeciw niej samej. Instalowany w lasach system autoimmunologiczny, nakazujący zwalczać ciała własne, wyrasta z wyobrażenia, że natura jest wrogiem natury. Pokonać tego wroga to nie tylko uzyskać dostęp do źródła ogromnych zysków, lecz także przejąć kontrolę nad definiowaniem „natury”. A kto panuje nad definicją natury, kontroluje również ciało społeczne.

### Niepodzielność

Wrogość wyobrażona to stan zbiorowych afektów, nie faktów. I właśnie dla zarządzania społecznymi emocjami potrzebna jest polityka wrogości. Spełnia się ona w tworzeniu wizerunku niewłaściwie funkcjonującego systemu immunologicznego – obrazu groźnych ciał własnych atakujących od środka ciało wspólne. Warunkiem przetrwania jest nauczanie systemu immunologicznego atakowania owych swoich ciał obcych. To zaś wymaga emocjonalnej identyczności – jedności odczuwania i zwalczania tego, co zagraża nam od wewnątrz.

Produkcja „antyciał” wobec „kobiety” i „natury” jest pożądaną przez władzę nową reakcją immunologiczną. Praktyczny cel wydaje się prosty: Polska chciałaby przekształcić ciało kobiet w gwarant przetrwania kryzysu demograficznego, zaś ciało natury w źródło akumulacji. Wygląda to jak gromadzenie zapasów na długie oblężenie.

Kolonizacja „kobiety” i „natury” cechowała całą nowoczesność, ale dzisiejsze mechanizmy produkcji wrogości nie tylko wprowadzają podziały i służą kontroli nad całym ciałem społecznym. Sygnalizują one nową metodę – negowanie wszelkich „niepodzielnych” bytów społecznych, takich jak podmiot ludzki, prawa natury czy prawa obywatelskie.

„Wróg”, jak widać, to nie po prostu pojedynczy wizerunek czy nawet rozbudowana opowieść – o naturze czy kobiecie. „Wróg” to sposób porządkowania rzeczywistości – logika, która ma spajać komunikację społeczną i wprowadzić wszystkich do nowego etapu historii. Na etapie tym władza metodami patriarchalnymi, czyli męsko-katolickimi, będzie próbowała sprostać wyzwaniom kapitalizmu. Oznacza to, że na pozycji „swojskiego ciała obcego”, pozbawionego części praw obywatelskich, może znaleźć się każdy. Bronić dziś kobiet i natury to bronić nie tylko ich praw, lecz także cudzych praw na jutro. Wychodzić na ulice w proteście przeciw zaostrzaniu ustawy antyaborcyjnej to również bronić Polski przed przasną i dość okrutną wersją kapitalizmu na peryferiach. Domagać się zaprzestania wycinki puszczy to stawiać opór władzy, która przekształca społeczeństwo w maszynkę do produkcji podziałów.



# Poznaj Świat

## Adam Poprawa

– Czy macie jakieś pytania?

Alumni zdążyli już zamknąć zeszyty, niektórzy prawie wstawali. No tak, ale czemu, Boże, znów tak doświadczasz, znowu on, a to dziś ostatni wykład. Dwóch studentów w rzędzie za nim przewróciło oczami, księdzu profesorowi wykładowcy nie wypadło.

– Tomasz, proszę bardzo.

Na innych klerykach sutanny leżały od razu po księżowsku, u niego wyglądała jak niedopasowana, nawet rękawy się podciągały. Nieraz też zapominał koloratki, tak że czarna stójka pod piegowatą twarzą wyglądała wręcz wyzywająco. Ale Tadek z jego pokoju zapewniał, że on naprawdę zapomina. Nie przyznawał się, że sam Tomkowi tę koloratkę czasami chował, no nie, nie zawsze.

– Chodzi o tę nienawiść w słowach Jezusa z Ewangelii Łukasza, o których ksiądz profesor dzisiaj mówił. – Tomasz miał już otwartą Tyśiąclatkę. – „Jeśli kto przychodzi do Mnie, a nie ma w nienawiści swego ojca i matki, żony i dzieci, braci i siostr, nadto i siebie samego, nie może być moim uczniem”. Nie sposób zrozumieć tutaj nienawiści.

– Mówiłem na wykładzie, że nienawiść nie oznacza w ustach Jezusa nienawiści, Jezus nie chciałby przecież od nas takiego uczucia. Tu chodzi o takie wewnętrzne oderwanie się, o to, żeby miłość Boga i Chrystusa postawić ponad wszystko, nawet ponad najbliższych.

– Tak, też widzę ten przypis w Tyśiąclatce...

– Słuchaj, Tomasz, to jest, mimo zastrzeżeń, obowiązujące u nas wydanie Biblii, i nie widzę powodu, żebyś się wyzłościł, a poza tym nie obawiaj się, chłopcze, czytałem też inne komentarze. – W głosie księdza profesora synapsy się rozgrzały w przypominaniu, gdzie i u kogo czytał o tej nienawiści Jezusa.

Dwóch czy trzech alumnów zaśmiało się niepewnie, Tomasz trochę się speszył.

– Nie, przepraszam, nie chciałem, tylko akurat mam tu otwartą Biblię... Więc ta nienawiść, to jest też w innych tłumaczeniach, na pewno więc jest też w oryginale.

– Oczywiście, że jest – żarliwie się zgodził wykładowca, choć o grece miał pojęcie ogólne, niemniej o dialekcie koine zdarzyło mu się słyszeć.

– No właśnie, dlaczego więc nienawiść?

Jezus mówił do uczniów w przypowieściach, a ksiądz profesor wykładowca w porównaniach.

– Jesteś dobrze zapowiadającym się alumnem, więc na pewno pamiętasz te słowa z Mateusza, gdzie Jezus mówi, że nie jest Go godzin ten, kto kocha ojca i matkę bardziej niż Jego?

– Pamiętam.

– No widzisz – ksiądz uśmiechnął się z wyrozumiałością. – I co, też masz tu jakieś wątpliwości?

– Nie, tu jest zwykłe stopniowanie, to znaczy nie gramatyczne, idzie po prostu o hierarchię. Jeśli wybiera się Boga, to Jemu należy się najwyższa miłość.

– U Łukasza jest tak samo, też chodzi o to, że największą miłość winniśmy Bogu.

Alumni w większości siedzieli w niecierpliwym znużeniu, jedynie nieliczni mieli jeszcze nadzieję na coś ostrzejszego. Janusz, który starał się ucieszyć matkę tym, że wzrasta w mądrości i pobożności, układał sobie kolejny list. Poprzednio napisał: „Moja Kochana Matko Uboga w Duchu, tęsknię wprawdzie do Ciebie i nieraz o Tobie myślę, ale cieszę się tak jak i Ty, że za kilka lat zostanę kapłanem, albowiem Twoje jest królestwo niebieskie. Twój Janusz”. Dziś wieczorem zacznie tak: „Moja Kochana Znienawidzona Matko...”.

– Niezupełnie tak samo, jest nienawiść...

– Ojej, uczepiłeś się jednego słowa. Wiesz przecież, a przynajmniej powinienes, że Biblia wykorzystuje różne tradycje i gatunki starożytne, to po prostu taka metafora... Poza tym Biblię trzeba czytać w porównaniach. W innym miejscu masz przykazanie miłości rodziców, masz przykazanie miłości siebie samego, masz nawet miłość nieprzyjaciół...

– Miłość i nienawiść, ksiądz profesor wybaczy, ale to biblijny zen? Yin i yang?

– Zostawmy religie Wschodu, zagadnienia ekumenii będziecie mieli na ostatnim roku.

– Przepraszam. Ale dlaczego niektóre wypowiedzi Jezusa traktujemy dosłownie, a inne wymagają, no, prawie że naciąganych komentarzy. Poza tym od jakiegoś czasu różne teksty czyta się właśnie nie całościowo, ale podkreśla się fragmenty, wyodrębnia je, patrzy, jakby były czymś osobnym, jak teraz same zaczynają znaczyć.

– Jeśli tak cię to interesuje, trzeba było studiować literaturę.

– Studiowałem, ale pociągnęła mnie miłość większa.

– No, z powołaniami różnie bywa. Kto z tobą rozmawiał, gdy się do nas zgłosiłeś?

– Ojciec Kazimierz.

– Aha. – On stawia na statystykę, ale tego nie powie chłopakowi, mimo wszystko. No wreszcie!

– Salij! Salij! – ksiądz profesor aż wstał. – Ojciec Jacek Salij, dominikanin, bardzo mądrze pisał o tych słowach, które cię tak niepokoją. Gdzieś mam ten artykuł, przyniosę ci. Ojciec Salij tam pisze, że tak jak miłowanie nieprzyjaciół ma nas chronić przed zaślepiającą mocą nienawiści, tak o nienawiści Jezus powiedział, żeby chronić nas przed zaślepiającą mocą miłości, o właśnie, tak napisał, zaślepiająca moc miłości. Rozumiesz teraz?

Alumni z ulgą wstali i zaczęli wychodzić, tak że Tomasz nie odpowiedział księdzu profesorowi zajętemu składaniem kartek z wykładu.

\*

Nazajutrz księży wykładowcy i klerycy tłoczyli się pod kartką przyklejoną do tablicy ogłoszeń na korytarzu. Napisano wyraźnym atramentowym pismem: „Kto nie ma w nienawiści arcybiskupa, nie jest Mnie godzin”. Jeden z diakonów po kilku minutach zdjął kartkę.

\*

– Czy zdajesz sobie sprawę, co zrobisz?

Tomasz stał w należytym odległości przed stołem, za którym zasiadli ksiądz profesor rektor, ksiądz doktor wicerektor, ksiądz profesor wykładowca, ksiądz doktor prefekt, ksiądz magister prokurator i ksiądz doktor ojciec duchowny. Żeby starczyło, zawołali wcześniej paru kleryków, którzy zestawili dwa biurka wzdłuż, na tym sukno, krucyfiks, i można zaczynać.

– Napisałem zdanie zgodne z tym z Ewangelii Łukasza...

Ksiądz doktor wicerektor przerwał mu podniesionym głosem:

– O Ewangelii możesz sobie pisać do woli, ale tu sprawa robi się poważniejsza, bo tu już nie chodzi o Ewangelię, tylko o naszego arcybiskupa.

Wsparł go ksiądz doktor prefekt:

– Czy pomyślałeś choć przez chwilę o tym, co mogłoby się stać, gdyby ta kartka dotarła do księdza arcybiskupa? Nie dotrze na pewno, ale tyle ludzi ją przeczytało – spojrzał na siedzącego obok księdza magistra prokuratora, który odrzekł krótko:

– Wypraszam sobie!

– Fratres! Fratres! – ksiądz profesor rektor, jako najstarszy, pamiętał jeszcze trochę łaciny i sięgał do niej, gdy chwila wymagała. – Dlaczego to zrobisz? – Popatrzył na Tomasza, inni też. – Czy pomyślałeś choć przez chwilę o naszym wspólnym dobru, jakim jest to seminarium?

– Ale ja nic o seminarium nie napisałem.

– Ale arcybiskup! Arcybiskup! – ksiądz doktor ojciec duchowny nie krył wzburzenia. – Co będzie, jeśli ktoś mu jednak powie?

– Ksiądz arcybiskup zna Ewangelię, więc zrozumie...

Sześć par oczu spojrzało na Tomasza z tak bezgranicznym zdumieniem, że nie zdołał dopowiedzieć, co dokładnie zrozumie ksiądz arcybiskup.

– Chłopcze – ksiądz doktor wicerektor zamachał rękami, jakby chciał opędzić się przed walkiriami argumentów – ty chyba nie wiesz, na jakim świecie żyjesz.

– Jeśli słowa Jezusa o nienawiści są w kanonicznym wydaniu Biblii, jeśli są uznane przez Kościół komentarze do nich, to słowa te dotyczą nas, wszystkich chrześcijan, a więc też księdza arcybiskupa.

Ksiądz doktor prefekt spojrzał na siedzących po prawej i lewej stronie:

– On chyba naprawdę nie wie nic o świecie.

– A przecież – Tomasz zaczął mocnym, choć nieco drżącym głosem, i zamilkł, po chwili zaczerpnął powietrza – a przecież powiedział Ktoś, że królestwo Jego nie jest z tego świata – gdyby Tomasz to pisał, zaimki też by się zaczynały dużymi literami.

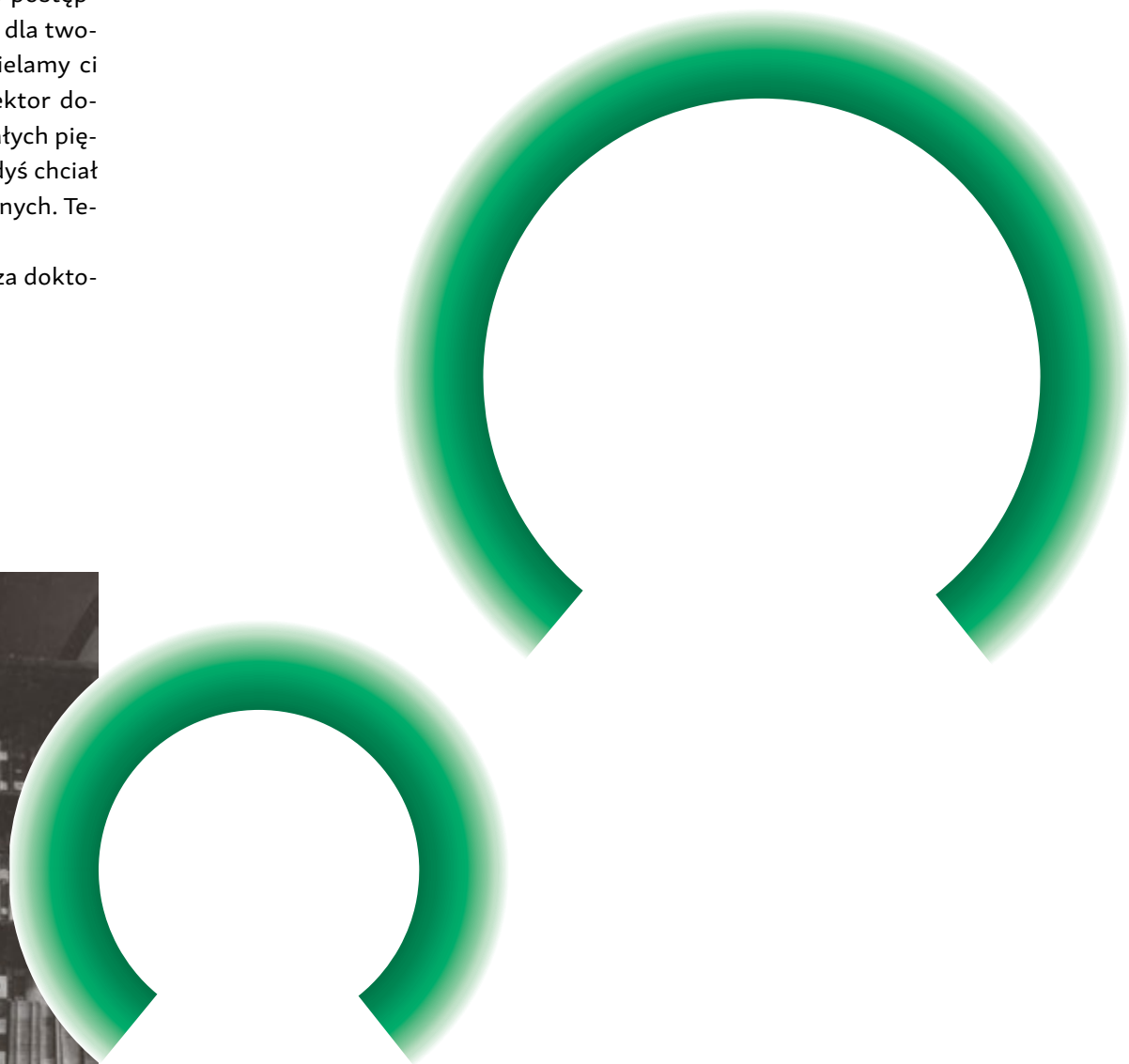
– No nie przesadzaj, Jezus żył w innych czasach. – Ksiądz profesor rektor powiedział to niespodziewanie lżejszym tonem. – Teraz wyjdź, a my postanowimy, co z tobą zrobić.

\*

– Wzięliśmy pod uwagę twoją pobożność i pilność. Jesteś jeszcze młody i nie zdawałeś sobie sprawy z konsekwencji twojego postępuku. Dlatego też nie usuniemy cię z naszego seminarium, ale, dla twojego dobra, musimy cię po chrześcijańsku napomnieć: udzielamy ci nagany. – Po kilku sekundach milczenia ksiądz profesor rektor dodał: – I może już nie cytuj tyle Biblii... Żartowałem. – Pozostałych pięciu za stołem roześmiało się skwapliwie. – Gdybyś jednak kiedyś chciał się powołać na któryś z wersetów, zapytaj najpierw przełożonych. Teraz odejdź w pokoju i rozważ to wszystko w modlitwie.

Tomasz już chwycił za klamkę, gdy usłyszał głos księdza doktora prefekta:

– I pamiętaj, że są też inne książki.





# Bloga se załóż

Dariusz Nowacki

Takie właśnie zalecenie sformułował pewien znamienity pisarz, z którym niedawno, w trybie czysto towarzyskim, wymieniałem luźne uwagi na temat słabej polskiej powieści z uporem przedstawianej jako rewelacja i nieledwie arcydzieło; oczywiście nie chodziło o utwór napisany przez mojego rozmówcę.

Zachęta „bloga se załóż” pojawiła się zatem w rozmowie o promocyjnej hołdzie, jakiej mnóstwo w każdym sezonie wydawniczym, i była – co tu kryć – spontaniczną reakcją interlokutora na moje biadolenie. Nikt nie chce – skarżyłem się pisarzowi – tekstów o nastawieniu demistyfikatorskim, utrzymanych w poetyce pamfletowej, prześmiewczych i zgryźliwych (kiedy są ku temu wyraźne powody), wymierzonych w ewidentną hucpę. Zaprzyjaźnieni redaktorzy, których informuję o swoich planach pisania na „nie”, kręcą nosem, perswadując, że się nie godzi, bo przecież w sytuacji powszechnego nieczytania tylko do czytania skłaniać należy i doprawdy nie jest ważne, co lud czyta, byle czytał. Krytyk ma zachęcać, nie zaś demaskować, w ostateczności powinien przemilczeć, jak mu coś nie pasuje. Skoro tak się sprawy mają – zareagował pisarz – czym prędzej ujawnij problem w sieci („bloga se załóż”), obnaż, co obnażyć trzeba, wyśpiewaj swój protest song, daj odpór tandeciarzom. Odpowiedziałem mu wykrętnie, że mi się nie chce i że może kiedyś, dawniej, bym założył i podjął krucjatę, ale teraz raczej nie. Wiem, kiepska odpowiedź, ale nadarzyła się okazja (o antagonyzmach mam tu mówić), by dać lepszą.

Dlaczego zatem, mimo że wygodne narzędzia (blog krytyczno-literacki, autorska witryna recenzencka itp.) są na wyciągnięcie ręki, niczego zakładać nie będę? Czy net mi się nie podoba? Ależ skąd! Sieciowe medium, w tej konkretnej sytuacji, uważam za całkowicie neutralne – sam wielokrotnie na zamówienia internetowych podmiotów odpowiadałem; sporo moich tekstów ukazało się w dwu wersjach (papierowej i cyfrowej). Więcej – krytyka literacka obecna w internecie ma mnóstwo oczywistych zalet i przewag (w stosunku do tej na papierze). Jeśli tekst nie znajduje się pod paywallem, w ułamku sekundy jest dostępny dla wszystkich, może się pojawić bez żadnej zwłoki (np. recenzja w dniu premiery książki), w dowolnej (w domyśle: ponadprzeciętnej) objętości, zawsze gotowy na podlinkowanie, które przecież, będąc błyskawicznym odesłaniem do źródła, sprzyja debacie, wręcz zachęca, by się z takim tekstem krytycznym skonfrontować (np. dać słowo przeciwko słowu).

Rzecz jasna, nie idzie o samo publikowanie w necie (alergii na krzemy nie mam), lecz o status osoby, która właśnie w sieci wypowiada się na tematy literackie. Zalecenie „bloga se załóż” sprowadza się ostatecznie do dziwacznej zachęty, by porzucić zawodowość i przejść na amatorstwo.

Będę staroświecki – dostrzegam dystynkcję, odczuwam różnicę, konflikt interesów widzę. Najbardziej w wymiarze merytorycznym – lamente i złozoneczone zawarte w *Kulcie amatora* Andrew Keena jakoś średnio do mnie trafiają. W ogóle nie lubię elitaryzmu, nawet wyrażonego tak dowcipnie jak w *Kulturze karaoke* Dubravki Ugrešić, gdzie

na kilka sposobów omówiono tę samą – w punkcie wyjścia – sytuację: nie mam o czymś pojęcia, jednak to, że nie mam o czymś pojęcia, nie powstrzymuje mnie przed praktykowaniem czegoś, o czym nie mam pojęcia. Prawidłowość tę chorwacka eseistka szyderczo nazywa wolnością – „wolnością od wiedzy, od przeszłości, od kontynuacji, od kulturowej pamięci i hierarchii wartości kulturowych” (przeł. Dorota Jovan-ka Ćirić).

Szczerze mówiąc, tak rozumianej „wolności” skrycie amatorom zazdroszczę – zaiste, na nic nie muszą się oglądać, wolni jak taczanka na stepie, aczkolwiek ich, jakże częste, wyluzowanie językowe utrudnia lub co najmniej komplikuje lekturę sieciowych tekstów. Ano właśnie – profesjonalna wypowiedź krytycznoliteracka (by rzecz ograniczyć tutaj do interesującej mnie domeny) przechodzi jednak przez jakieś redaktorsko-adiustacyjne sito... mimo wszystko ktoś to przed publikacją powinien przeczytać, skorygować nasze błędy rozmaite, udoskonalić to, co o udoskonalenie aż się prosi. Słowem, „założę se bloga” i co? I zostanę jak Himilbach z angielskim (znacie na pewno ten stary dowcip)? „Wolność od wiedzy” (Ugrešić) – znów będę staroświecki – powinna być jednak czymś limitowana – wolność od przepisów zdeponowanych w *Słowniku poprawnej polszczyzny* to chyba nie jest najlepszy pomysł. Zawsze mi się wydawało – i w tym m.in. wyraża się moje poczucie zawodowości – że ktoś owe przepisy zna lepiej ode mnie, że uratuje to, co sam spieprzyłem, dajmy na to, wyprostuje pokrętną składnię, kompromitującego kiksa usunie (pomylenie Gai Grzegorzewskiej z Wiolettą Grzegorzewską niby wykluczone, ale wypadki chodzą po ludziach, co nie?).

Nadrzędna różnica sprowadza się – jak wszystko w naszej ponurej rzeczywistości – do pieniędzy. „Założ se bloga”, czyli czytaj grube książki, myśl o nich, pisz kompetentne komentarze im poświęcone, a wszystko to wykonaj za frikulca. Dziękuję, postoję! Oczywiście w samym pisaniu i publikowaniu za darmość nie ma niczego złego. Sęk w tym, że owa darmość nie jest wcale szlachetna, choć biorąc pod uwagę intencje krytyka amatora, taką może się jawić (nazywamy to działaniem w dobrej wierze). Aliści w mojej ocenie raczej pod wyzysk podpada. Wskażę tylko jednego – poniekąd ukrytego, niedostrzegalnego na pierwszy rzut oka – wyzyskiwacza: biznes książkowy.

Otóż z powodów wizerunkowych duże oficyny wydawnicze, choć te średnie także, nie mogą przyznać się do tego, że ich produkty trafiają w konsumencką próżnię. Ktoś musi potwierdzać sens ich wysiłków, zapewniać, że książka żyje, jest atrakcyjna i bez wątpienia godna nabycia drogą kupna. Na stronach internetowych poszczególnych wydawnictw znajdziemy więc zakładki „Pisali o nas”, „Recenzje”, „Media o książce” lub coś w tym rodzaju. Warto przestudiować ich zawartość. Od jakiegoś czasu dominują tam adresy internetowe, w tym przekierowania do blogów i amatorskich kącików recenzenckich czy innych inicjatyw oddolnych. Ano właśnie – oddolnych. Per analogiam do dziennikarstwa obywatelskiego – to krytyka obywatelska, która w całości podpada pod zjawisko znane jako crowdsourcing, czyli nieformalne,

poniekąd utajone powierzanie zadań anonimowej społeczności, eliminujące z rynku licencjonowanych rzemieślników (nie kryję, że myślę tu o sobie, roszczeniowo i egoistycznie... trochę jak działacz Samoobrony przywiązany do własnego PGR-u). Po cholere opłacać profesjonalistów, skoro amatorzy zrobią to samo za darmo, i to z przytupem oraz pocałowaniem ręki?

Tak więc wytwarzania tekstów krytycznoliterackich za free nie uważam za przejaw szlachetności, lecz za ewidentne frajerstwo. Śmiesz mnie i zarazem oburza argumentacja nawiązująca do kwestii wiarygodności. Mam na myśli to, że nader często amatorskie opiniodawstwo przeciwstawiane jest działalności profesjonalnej właśnie na płaszczyźnie etycznej. Zawodowcy są rzekomo uwikłani na tysiąc sposobów: zarzut uczestnictwa w „dominującym dyskursie medialnym”, podatność na korupcję, podejrzenia o to, że ich wypowiedzi nie mogą być obiektywne, gdyż zawsze osadzone są w jakiejś ramie ideologicznej i/lub ekonomicznej. Tymczasem amatorzy publikujący w sieci nie tylko nie mają takich zmartwień, ale i dają ponoć rękomię uczciwości... co w sercu, to na języku, czyli „na końcu to już się zupełnie rozryczałam”. Ów rozkoszny cytat wziętem z tekstu *Marketing klikany* Aleksandry Żelezińskiej („Polityka” 2016, nr 32), tekstu, w którym autorka dokonała krótkiego, acz treściwego przeglądu plugawych praktyk opartych na szlachetnym przekonaniu o bezinteresowności opinii i rekomendacji publikowanych w sieci.

W wydanej przed pięcioma laty książeczce *Gdzie jest czytelnik?* (rozdział 10: *Amatorzy piszą recenzję – zmierzch krytyki*) Łukasz Gołębiewski celnie punktował przewagi niezawodowców. Poza argumentem, o którym była już mowa (nieporównanie większa wiarygodność), wspominał jeszcze o przekleństwie „nizowych periodyków” (profesjonalności zapętniają tytuły, których nikt nie czyta), barierze języka (niezrozumiałość, erudycja jako przeszkoda komunikacyjna) i barierze objętości tekstu (recenzja powyżej 1 tys. znaków to nie żadna recenzja, lecz skandaliczne wodolejstwo). Ponadto wyróżnił – co chyba ważne – emocję jako pojęcie bodaj centralne, no i, rzecz jasna, przeciwstawione rozumowi, zwłaszcza akademickiemu. Dyskurs „belfra” – zauważa Gołębiewski – jest nie do przyjęcia, liczą się tylko świadectwa „przeżyć lekturowych” sformułowane przez tzw. zwykłych czytelników, będących zarazem opiniodawcami, właśnie owe „odruchy serca”, „autentyki” nieskażone świadomością historyczno- i teoretycznoliteracką bądź – szerzej – kulturowymi kontekstami.

Cóż, przedstawia się to nawet sympatycznie i zachęcająco (emocjonalność fajna rzecz!), tyle że nie zachodzi w próżni czy jakimś idealnym świecie, w którym cyrkulują swobodnie – by pojechać belfrem – głosy wolne wolność ubezpieczające. Świadectwa te są bowiem na potęgę preparowane, rozpleniane i kumulowane w celach czysto marketingowych, co ostatecznie sprawia, że amator gładko wchodzi w rolę pożytecznego idioty. Umówmy się, że profesjonalista także, tyle że mu za to płacą (należałoby chyba uwzględnić subtelny różnicę między pożytecznym idiotą i agentem wpływu, bo to jednak nie do końca tożsame figury).

Na koniec sprawa być może fundamentalna. Skąd się wzięło przekonanie, że obecność w sieci automatycznie przekłada się na widzialność? Jednym z podstawowych lęków zawodowego krytyka jest poczucie utraty wpływu tak na publiczność czytającą, która za nic ma jego rozpoznania i rekomendacje, jak i na postawy tudzież decyzje artystyczne pisarzy, wreszcie na samą literaturę. Nikt nie lubi gadania po próżnicy, zupełnie obojętnego dla kogokolwiek, a krytyk nie lubi jakby bardziej. W tym miejscu przypomniła mi się anegdota, jak to pewien organizator konkursu literackiego wielce się dziwił, że spłynęło niewiele prac, tyle co nic. Na pytanie, czy potencjalni uczestnicy konkursu

mieli szansę dowiedzieć się o zawodach, odpowiedział: no jak to, przecież komunikat wisi na stronie (instytucji). Wisi i powiewa – chciałoby się rzec, czyli z faktu, że wisi, wynika tylko to, że wisi.

Podpowiada mi zacny rozmówca, którego przywołałem na początku, „bloga se załóż”. Ale nie daje instrukcji, jak zmierzyć się z sytuacją, kiedy pod wpisem blogowym pojawia się to, co zawsze (ostrożniej: prawie zawsze, w 99 procentach), czyli złowieszcze, nieznosne: Komentarze (o), słownie: zero. Dając tekst do papieru, można przynajmniej żywić jakieś złudzenia, słodko, autoerotycznie fantazjować na temat swojego czytelnika. W necie szansy na to nie ma – zero to zero i, błagam, nie mówcie mi o liczniku odsłon. Bloga i tak se nie założę.



Mogę cię nie lubić, cicha, czysta dentystko, papierku zalany lekarstwem, folio, która zastaniasz nam widok na morze. I ciebie, liberalny podmiocie, który (kompletnie pijany) niby-się-martwisz spustoszeniem Podola. Ale moim prawdziwym wrogiem jest firma „Urszula Kinowska”, która produkuje Andruty Kaliskie (mąka pszenna, olej rzepakowy, cukier). Made in Kalisz, Poland. Firma ta szkodzi mi codziennie.

Zaczęło się od wizyty w sklepie. Była zima, na zewnątrz tętnił śnieg. Nieporadne spychacze przesuwwały szarą breję na boki. Mokre powietrze miało zapach benzyny, fast foodów i perfum z Rossmana. Niektórzy ludzie nieśli parasolki, inni kulili się w płaszczech. Kiedy kupiłam psu kość, wypełniłam kupon Totka i przejrzałam wilgotne gazety na stojaku – zrobiłam się głodna. Obok skrzyżowania zobaczyłam nowe delikatesy. Skromny biały barak wydał mi się gustowny. Wzbudzał zaufanie. Weszłam do środka i kupiłam serek wiejski, dwa banany i mleko sojowe, kiedy uwagę moją przykuły niemal przezroczyste, równiutko ułożone jeden za drugim koła w kolorze pszenicy. Podeszłam do półki przy dziale cukierniczym i sięgnęłam po opakowane w ciekawą folię rarytasy. Ekspedientka mrugnęła do mnie ostrzegawczo. Podziękowałam jej odmrugnięciem i delikatnie włożyłam wafle do koszyka. Wróciłam do domu autobusem D, powitał mnie mister Lisicki, mój pies. Dałam mu kość. Pomachał radośnie ogonem i przyjął podarunek, a potem zwiął za kanapę. Pomrukiwał tam i mlaskał, a ja odnalazłam w zwoju kotłowej pilota. Włączyłam trzeci sezon serialu „Moralne bankructwo” i odpakowałam wafle. Nie muszę mówić, jaką przyjemność sprawia łamanie wafli ustami. Cichy trzask, z jakim pękają. Ich delikatnie chropowata struktura. Lekkość tego doświadczenia udziela się ciału i – przysięgałam kiedyś, że nigdy nie użyję tego słowa – całemu JESTESTWU. Kiedy jadłam wafle – robiłam tylko to. Nie myślałam wtedy o rachunkach, złych recenzjach i kłótni z szefową pewnego portalu. Olewałam prawicowe bojówki i nie pisałam listów do prezydenta. Świat zyskiwał na łagodności, tracił swoje ostre kanty. Słowem – stawał się okrągły jak wafel. Cieszyłam się swoją nową pasją, która zaczęła wypełniać mi życie. I chociaż dziwiłam się, że mister Lisicki, słynny łakomczuch, nie przychodzi do mnie na żebry – jadłam wafle jak poparzona. A spacer do delikatesów stały się rytuałem. Cóż, nawet nie zauważyłam, jak wkrótce zaczęłam się zaniedbywać: niezgłoszony wąsik tworzył brzydki cień nad górną wargą. Włosy pozlepiały się w niezidentyfikowane strąki. Teraz, po dwóch latach od tamtych wydarzeń, nadal mi wstyd, kiedy patrzę na Lisickiego, mojego druha, który wtedy był najniešťczęśliwszym psem na świecie. Ospała i markotna wychodziłam z nim tylko na krótkie siusiu, bez wachania i opryskiwania skwerów, na co byliśmy umówieni od dekady. Wyniszczona żarciem, w poplamionym płaszczu, stawiałam nocą przed szybą delikatesów i wpatrywałam się tępo w witrynę. Zdegradowana, sprowadzona do organów trawiennych, gryzłam wafle, patrząc tępo w ścianę. Pewnego dnia przyszła do mnie ukochana przyjaciółka, którą oszukiwałam, odbierając telefon po angielsku i sugerując, że jestem na zagranicznych wakacjach. Była przerażona moim wyglądem: nogi grube jak ba-

obaby, po posadźce ciągnęłam opasy zad. Moja skóra stała się ciastowata, blada jak u księdza.

Kiedy zobaczyła wafle, zawołała zdziwiona:

– Jesz jakiś vintage food!

To lekko mnie otrzeźwiło. Czyżbym była mało progresywna?

– Mister Lisicki – zapytałam – sądzisz, że te wafle są vintage?

Sterany zabawą z kością pies spojrzał na mnie lekceważąco. Co jak co, ale zawsze najbardziej brzydziła mnie zachowawczość. Postanowiłam skończyć ze zgubnym nałogiem i zakopać cały zapas Andrutów Kaliskich na cmentarzu (żeby je sobie dodatkowo zohydzić).

Wiele godzin zabrało mi zebranie opakowań, które ścieliły się na kanapach, krzesłach, fotelach, tworząc wymyślną architekturę. Oparte o siebie wafle przyjmowały postać domina, domków z kart, kwiatów o wielkich białych liściach. Płakałam, kiedy zbierałam je do niebieskich toreb firmy Ikea: Moje słodkie dzieciuszki-pimpuszeki. Moje łakotki-psotki. A kiedy pod koniec pracy znajdowałam w szafce nieskazitelnie krągły wafel – dyszałam z rozpacz, załamywałam ręce i robiła się ze mnie prawdziwa beksa lala. Miałam ochotę ugryźć ten ostatni raz – i rozpaść się na tysiąc cząsteczek, rozpuścić w słodkim niebycie. Lecz wtedy niezawodny druh, mister Lisicki, zaczynał pojękiwać znacząco i świdrować mnie swoim psim wzrokiem: musiałam wziąć się w garść.

Noc była wyjątkowo piękna. Śnieg nie tyle padał, co unosił się w powietrzu, jakby pochodził z ziemi, nie z nieba. Wszystko wydawało się trochę nierzeczywiste, kiedy ciągnęłam przez czarno-biały park gigantyczne drewniane sanie ze słodkim, kruchym, ale i zabójczym ładunkiem. Lisicki stąpał jak lis. Minęliśmy dwóch zboczeńców, którzy szczęśliwie nas zignorowali, zajęci gmeraniem we własnych płaszczech. W cieniu drzew przemknął dzik. Żadnych patroli. Po godzinie marszu zauważyliśmy łunę żółtego światła. Potem parkowa ścieżka skrzyżowała się z brukiem, pojawiły się pierwsze latarnie i ujrzeliśmy cmentarz. Ulica była pusta, kwiaciarki na noc zamknęły swoje smętne budki. Cmentarz, który nazywano Zwierzynieckim, nie należał do tych starocmentarzy, które są całą dobę strzeżone i lśnią nocą na śniegu niczym świąteczne bombki. Zwierzyniecki był niemedialny, nieźle zarosnięty i sama nie wiem, czy ktoś z własnej woli chciałby być tam pochowany. Ale do zakopania wafli nadawał się idealnie.

Spojrzeliliśmy na siebie: było jasne, że udajemy się pod płot, do strefy samobójców, w której – mimo wszystko – jest więcej miejsca.

– Ludzie jednak chcą żyć – powiedziałam melancholijnie do Lisickiego. – Do końca.

Po tej niezbyt odkrywczej refleksji złapałam za sznur, który zdążył obrosnąć maleńkimi kryształkami lodu, i ponownie zaczęłam ciągnąć sanie. Przykro mi to mówić, ale Lisicki siknął na kilka nagrobków. Żenada. W końcu dotarliśmy zmasakrowani pod płot. Nie zastanawiając się długo, zdjęłam z sań szpadel i zaczęłam kopać. Ziemia była zmarznięta i twarda, a ja gruba i miękka. Po trzech godzinach udało mi się wykopać płytki grób. Ale byłam spocona jak świnia.





– Rajcowne racuszki – szepnęłam pieszczotliwie, ale potem bezwzględnie cisnęłam wafle do dziury. Na końcu je podpaliłam. Z grobowców wyszło kilku zmarzniętych żuli, którzy chcieli się ogrzać przy ognisku. Śpiewaliśmy piosenki, popiliśmy i w ogóle było wesoło. Kryzys przyszedł nazajutrz: przyjaciółka musiała przykuć mnie łańcuchami do krzesła. A kiedy poczułam narkotyczny głód, zaczęła głośno czytać Bernharda, co zawsze działało uśmierzająco. Syndrom odstawienia mnie wykańczał. Perfidne wafle ukazywały się wszędzie jak święte obrazy: słońce i księżyc były okrągłe jak wafel, abażury lampek, misy na owoce – wszystko upiornie okrągłe. Andruty Kaliskie nie dawały za wygraną. Firma „Urszula Kinowska” toczyła morderczą walkę o moją duszę. I tylko dzięki pomocy przyjaciół i cierpliwości pana Lisic-

kiego (a także słodkiej monotonii Bernharda) opanowałam się wreszcie, wyrzekłam wafli, a na końcu zhakowałam stronę [www.andruty.eu](http://www.andruty.eu), umieszczając tam zdjęcie andruta w kompromitującej sytuacji z panną xxx. Od tamtej pory omijam skrzyżowanie, przy którym znajdują się delikatesy. A każdą wolną chwilę spędzam, wygłaszając w ramach wolontariatu pogadanki w podstawówkach. Dziś znowu jestem sobą: mogę, mając wiernego psa u stóp, oglądać serial „Moralne bankructwo” i narzekać na kryzys liberalnego podmiotu.

# Z BYPASSAMI NA SCENIE

na przykład Radosław Kobierski

Cytaty z własnego dziennika nie muszą być żadnym koronnym dowodem, wszak wśród licznych bytów żyje we mnie ten, który przynajmniej raz uwierzył, że jawa jest formą snu, a literatura to dzieło kogoś innego.

„Budzę się przed dziesiątą. Kawa, papieros, gorący prysznic, żeby rozpocząć nowe życie. Woda jest ciągle tym, z czego wychodzę sobie naprzeciw”.

„Przestałem pisać. Żeby nie pamiętać. Trafiłem do kolonii karnej i mam teraz te wszystkie słowa pod skórą. Liczę godziny, które nie uległy tresurze. Może jednak dni. A nawet miesiące i lata. To by była dobra wiadomość. Jadłem śniadanie ze swoim sprzeciwem, myłem się ze swoim sprzeciwem, zapalałem silnik. Nie wiedziałem, dlaczego czuję się jak wartownik pilnujący siebie w celi. Żeby nie krzyczeć co noc, wracać z omdłym sercem. Nigdy nie wychodźcie za chore, słabe drzewa. One jeszcze zakwitną przy was”.

„Mój portret w wykonaniu Zosi Kuczok. Pamiętam, że po pasjonującej grze w farmera zakończonej remisem, zaczęliśmy się nawzajem portretować. Coś spontanicznego nagle stało się dla mnie absurdalnie poważne. Czym jest spojrzenie dziecka? Czy ono od razu nie obejmuje całości? Czy w tych kilku ruchach kredką, ruchach niewinnych i nieskazitelnym „pragnieniem doskonałości” nie zawiera się prawda o nas? Czyż dzieci nie widzą przez skórę, pomijając w tym błyskawicznym oglądzie wszystko co niezróżnicowane? [...] A potem zacząłem z nią nikczemną i podłą grę, roztoczyłem przed nią urok poprawności, błyskotliwość estetyki (te wszystkie cieniowania, paternity, subtelne detale), jej podziw dla mnie rósł w niej niebezpiecznie, a ja nie miałem gdzie ukryć własnego wstydu”.

„Jung oznaczył mnie na 14 zdjęciach wrzuconych w nocy na FB. Wszędzie wielcy mężczyźni, o dużych twarzach, ja jestem wcieleniem Schulzowskiej nieistotności, farsą, jakąś poławą faceta. Noga założona na nogę, ręce mocno splecione – nie ma tu żadnej nonszalancji i przeziębionej dumy, staram się skupić materię, zwołuję siebie z odległych krajin, żeby żaden promień, żadna informacja nie wyciekła poza horyzont wydarzenia, którym podobno jestem”.

To tylko kilka przykładów, a scena, doprawdy, jest rozległa. Ilość ról, kostiumów, rekwizytów, repertuar błyskotliwych perswazji, czułych kłamstw – niemal nieograniczone. Symbolika stara jak świat. Metafory militarne też się nadają. Zamykam jeden front (po dłuższej bądź krótszej konfrontacji) i oczekuję, że za chwilę otworzą się nowe, tymczasem one są już otwarte od dawna, tylko jeszcze ich nie zlokalizowałem, nie zostały nazwane. Jak wyglądają takie sceny czy pola walki? Spalone listy i dawno nie odwiedzane adresy, zszargane zdrowie (wódka, papierosy, internet) lub jogging na prawach dogmatu, nawracające pasje albo obojętność na granicy stuporu, nawrócenia i odmowy udziału, ucieczki od odpowiedzialności albo ucieczki (tak!) w odpowiedzialność, pożądanie i koniec iluzji, który udaje cnotę, i tak dalej. Są również sceny, które zbierają wszystkie te doświadczenia do kupy, zaś Wielki Inkwizytor, który niemal zawsze występuje w imię niedoli (żeby ją oczywiście pomniejszyć), tka z tej gotowej materii jakąś narrację o wy-

jatkowości. Funkcjonalni mają łatwiej (choć na funkcjonalność nie zasłużyli), niefunkcjonalni są przegrani, ale w tej szerokości i długości kulturowej i tak wygrywają. Wariat to lepszy gość, pisał Gałczyński.

W gruncie rzeczy ta obecność (czasem wyraźny głos, suma zbagatelizowanych snów, częściej po prostu pantomima, *physical theatre*, których choreografię bezwiednie powtarzam), doskonale wyszkolona, wytresowana, elastyczna – jest czystym banałem. Witkacy mówił o przerażeniu małością rzeczy, dla których można umrzeć, Tischner o mizerności i pospolitości źródeł porażki odpowiedzialnych za narodziny „sarmackiej melancholii”. Dlatego scenę uznał za nieprzychylną i wrogą człowiekowi i zalecał ją oswajać; tylko w ten bowiem sposób można wyjść od uprzedmiotowienia (którego za każdym razem dokonuje wdrukowany wewnętrznie przekaz) do podmiotowości. Oczywiście można zadać sobie pytanie, i ja je wciąż ponawiam, na skutek wyuczonej czujności, i dla higieny po prostu, czy sens podmiotowy, toż-samość nie jest kolejną iluzją, za którą ukrywa się wymierzona we mnie swojska obcość.

Współczesna psychologia nader często odwołuje się do „wewnętrznego dziecka”. Bywa, że wizualizuje je dosłownie, ale to nic innego niż rodzaj terapeutycznego bypassu, ustanowienia bezpośredniego połączenia z tym, co przedustawne (w obrębie konkretnego istnienia), z jakąś formą pierwotnej ekspresji, której system nie przewidział i z której trzeba było zrezygnować, żeby w systemie przeżyć. Scena jest nieusuwalna, można co najwyżej przestać słuchać suflerów.

Nie sposób oddalić się od tego, co negatywne; można tylko poruszać się w kierunku tego, co pozytywne (Chris Maser).

„Całe dorosłe życie szukałem Miejsca, do którego zawędrowałem z ojcem w dzieciństwie. Nie dawało mi to spokoju, pragnąłem wyjaśnić siłę i rangę tego wydarzenia. Niestety ciągle błądziłem, sądząc, że Miejsce znajduje się gdzieś w głębi lasu, że przyciąga mnie do niego wspomnienie tamtej obfitości albo ulegam przemożnej sile mitologizacji, która z epizodu, incydentu, za jaki traktowałem wyprawę z ojcem, wytwarza coś wielkiego i powtarzalnego zarazem. Odkrycie, jak zwykle w takich wypadkach, okazało się rozczarowaniem. Dopiero później dotarło do mnie, że w tamtym Miejscu skrzyżowały się dwie drogi, obie zupełnie autonomiczne. Moja własna ścieżka, którą niebawem miałem porzucić, i ścieżka mojego ojca. Nie docierał tam już głos matki”.

A miejsce, dodam, znajdowało się na skraju.

# Ubojowanie

## Marcin Sendeki

Wrogość? To bardzo wielkie słowo. Póki co, żyje się we względnie spokojnym i bezpiecznym małym świecie i doznaje się raczej zdziwienia, irytacji, smutku. Raczej obserwuje się, jak niektórzy usiłują wrogość organizować. I taplać się w niej, i przypinać sobie kolejne sprawności bojowej działaczki lub bojowego działacza. Bojowość idzie w cenę, w górę, w kosmos – i robi sobie selfie iPhone'em.

Czytałem niedawno „Nowe drogi” z 1954 roku z zapisem wystąpienia na II zjeździe PZPR. Lektura może i dziwna, ale kto bezrobotnemu zabroni? Pewnie czyta się teraz takie rzeczy dla smaku, dla paru słówek. Dla ubojowania, na przykład. Towarzysz Bolesław Bierut: „PZPR w okresie sprawozdawczym ubojowała swe szeregi, czerpiąc natchnienie dla swej pracy z potężnego źródła nauki marksistowsko-leninowskiej”. Towarzysz Jakub Berman, skromnie schowany gdzieś u końca numeru pośród mało ważnych mówców, podkreśla, że nowy statut partii to: „jeszcze ostrzejszy instrument wychowywania i ubojowania członków partii”. I towarzysz pisarz Leon Kruczkowski o „pracownikach i działaczach frontu kulturalnego”: „Cierpliwa praca ideologiczna partii, a przede wszystkim sam rozwój kształtowanego przez nią życia narodu przyciągnęły do nas wielu wybitnie nieraz utalentowanych twórców, pomogły im wyzwolić się z obciążeń przeszłości, z natógów jałowego estetyzmu i rzekomej apolityczności, zdobyć nową świadomość, nową wiedzę o życiu, nową postawę twórczą”.

Ciekawe, że jeszcze całkiem ostatnio obita mi się o uszy i ta „rzekoma apolityczność”, i „pracownicy frontu”. A może to byli „pracownicy poezji”? Zastanawiałem się, jakie poezja podpisuje ze swoimi pracownikami umowy i czy można zagrozić jej strajkiem, ale nic mądrego nie wymyśliłem.

I przeczytałem niedawno jeszcze coś prawie nowego. Oto pewna niewątpliwie ubojowana działaczka 31 sierpnia, w wiadomą rocznicę – rocznicę zasadniczo radosną, bo następcy tow. tow. Bieruta, Bermana i Kruczkowskiego poczuł się na tyle niepewnie, że odłożyli na później wyprowadzenie czołgów przeciw społeczeństwu, a na razie podpisali z nim porozumienie – zamieszcza w internecie cytaty z książki działającego na froncie nauki bojowego ideologa Jana Sowy „Inna Rzeczpospolita jest możliwa!”. Idzie to tak: „Przyzwyczailiśmy się do interpretacji działania >>Solidarności<<, które są w kółko powtarzane przy okazji różnego rodzaju oficjalnych uroczystości: walka przeciwników PRL z komunizmem w imię wolności. Okazuje się tymczasem [prawda, że ładne to „okazuje się”? – ms], że figura ta jest po dwakroć błędna. Po pierwsze, nie było w Polsce żadnego komunizmu; po drugie, >>Solidarność<< wcale nie występowała przeciw zasadom i ideałom, na których zbudowana była, deklaratywnie, Polska Rzeczpospolita Ludowa (...). >>Solidarność<< nie tylko nie była ruchem antykomunistycznym – w sensie sprzeciwu wobec zasad i wartości postulowanych przez robotniczy ruch komunistyczny – ale stanowiła sama w sobie wydarzenie par excellence komunistyczne. (...) Można powiedzieć więcej: >>Solidarność<< była największym sukcesem Polskiej Rzeczpospolitej Ludowej i kierującej nią Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Dała popis

pracowniczej samoorganizacji w imię interesów wspólnotowych w stu procentach zgodnych z komunistycznymi ideami oraz metodami walki przeciwko wyzyskowi i alienacji” – i jeszcze parę zdań w tym stylu.

No i co? No i już. Nie wiadomo, co cieszy bardziej: kopernikańskie odkrycie profesora Sowy i elegancja jego arcyktamliwego wywodu (jego elementy pamiętamy, jeśli kto czytał, z różnych trockistowskich broszur, no ale Trocki to przecież twórca Armii Czerwonej, a Armia Czerwona jest ok.), czy może radość działaczki, że uzbrojona w profesorski wywód może się w rocznicę Sierpnia komunizować do woli i powoływać nie tylko na radosne zniesienie nadwiślańskiej alienacji wraz z manifestem PKWN, lecz i na znanych komunistów Borusewicza, Gwiazdę i Wałęsę otoczonych komunistycznym stoczniowym aktywem, występujących pod biało-czerwonym sztandarem tylko dla niepoznaki, by czerwienią komunistycznej flagi nie drażnić biurokratów z PZPR. Rozumiem tę radość i dumę, lecz z nimi nie współczuję. I nie współczuję z profesorem Sową, choć doceniam, że idzie niezłomnie za tow. Bermanem, który napominał: „Trzeba wzmocnić naszą agitację i skończyć ze złym zwyczajem omijania ostrych kantów w propagandzie. Trzeba opanować nietatwą sztukę zwięzłego i ścisłego formułowania dyrektyw, walczyć z szablonem i uczyć samodzielnego wyciągania wniosków, konfrontowania dyrektyw z faktami. Trzeba nasze dyrektywy opierać na głębokim, wnikliwym poznaniu faktów i to konkretnych faktów z danej dziedziny i z danego terenu. Trzeba kontrolować realizację w terenie tych dyrektyw”.

To na razie wszystko. Tylko irytacja? Chyba się jednak pomyliłem. Ale co właściwie myśleć, kiedy się widzi, jak profesor Sowa z działaczką o bardzo małym rozumku powiewają czerwonym sztandarem na milionowych grobach ofiar komunizmu. Co robić?



# Bez tytułu

## Paulina Wilk

Ciągle czegoś chce, ciągle jej mało. I nie umie milczeć. Usta się nie poruszają, ale ona wciąż mówi. Do mnie. Tylko do mnie. Jakby mnie sobie upatrzyła. Jakbym jej coś zrobiła – wtedy, dawno, przed wszystkim innym. Zanim byłyśmy.

Chciałabym powiedzieć, że się przyzwyczaiłam i że ona mnie w ogóle nie obchodzi. Na wszystko można ponoć z czasem zobojętnieć. Ale to nie tak. Od niej nie ma ucieczki. Łazi jak ten cień przyszyty do pięt Piotrusia Pana. Dręczy bezszelestnie, nie zostawia śladów, nikt jej nigdy nie widział. Gdybym komuś opowiedziała, pomyślałby pewnie, że oszalałam.

Dzisiaj rano zatrzymała mnie w łóżku. Sparaliżowała. Miałam się pakować, planować, drukować, decydować. Jutro samolot, jutro świat. Ale nakazała leżenie – hibernację w całkowitym zaprzeczeniu ruchu, który za chwilę nastąpi. Zaordynowała blokadę przed podróżą, odmówiła jakiegokolwiek aktywności. Na złość. Zawsze robi na przekór, uparta, choć poznałyśmy się dobrze. Niezliczone tête à tête w gabinecie z dwoma beżowymi fotelami i młodym fikusem o lśniących listkach. Rósł i rósł, a my się poznawałyśmy. Więc nie chodzi o to, że ja o niej nie wiem. Wiem prawie wszystko – wywlokłam na wierzch, rozplatałam jak cielę – oglądałam każdy kawałek, pod światło i bez pośpiechu. Metafizycznie i prozaicznie do szpiku, na wylot. I co? Wciąż łazi, wciska łokieć między żebra, wywołuje czkawkę.

Żeby ją chociaż lubiła, za cokolwiek. Ale ona wszystko tylko wywraca na lewą stronę, na ciemną stronę. Mamrocze, że bez sensu, że nie warto, że będą same kłopoty. Że tam wcale nie jest lepiej niż tu, więc po co to sprawdzać. Że się boi i woli zostać. Że nie ma żadnego gdzie indziej. Że lepiej już było. I żebym nie mówiła, co myślę, bo z ludźmi trzeba dobrze żyć, oni wcale nie chcą znać prawdy. Albo żebym się nie cieszyła, bo jeszcze się zdziwię. Może nawet czasem ma rację, ale co mi po mądrościach odbierających radość i prawo do naiwności. Do niewinności. Co mi po gaszeniu ognia, którym nie zdążę się sparzyć.

Co dzień walczymy. Nieustające napieranie, kłótnie już nawet bez myśli i słów. Ona jest jak podniesione ciśnienie, jak podduszanie – nigdy na tyle mocne, by zbrakło tchu, ale zawsze obecne i nie pozwalające wypełnić płuc. Mam jej dosyć na zawsze.

Próbowałam, oczywiście, że próbowałam. Najpierw chciałam zrozumieć i negocjować. Rozumiem aż za dobrze, nie wynegocjowałam ani centymetra. Potem starałam się jej pozbyć, wypraszałam w złości, w smutku. Wywoziłam na koniec świata i umykałam przed nią w damasceńskich uliczkach, w slumsach Limy, topiłam w norweskich fiordach. Później, już bez wyrzutów sumienia, chciałam zabić. Ukręcić łeb. Różne miałam sposoby: zamordować aktywnością, robić tyle, żeby nie zostawić jej żadnej przestrzeni do życia. Ogłuchnąć na wszystko, co próbo-

wała mi wmówić. Zignorować – unicestwić obojętnością i konsekwentnym odmawianiem współpracy. Na krótką metę to się nawet udawało, ale za cenę efektu jojo. Potem to jej było na wierzchu, a ja kuliłam się, samą siebie upychałam w mankietach, przyciągałam kolana pod brodę i pozwalałam, by się panoszyła, zgarniała całą pulę, całe dnie.

Zastanawia mnie, skąd ona ma tyle siły. Mocy życiowej, choć przecież jest anty-życiem, w całości negatywną istotą, otchłanią i zawiścią. Kar-mi się moim krwiobiegiem, ciepłem mięśni, sokami mojego żołądka. Wszelkie próby zamordowania jej przyniosłyby samozniszczenie. Dawno już porzuciłam przekonanie, że albo ona, albo ja.

Nie wybrałam jej. Nie ślubowałam, że pozostanę wierna i nie opuszczę aż do śmierci. Właściwie jest dla mnie jak rodzina – biologicznie przypisana uniwersalnym prawem istnienia lub ewolucyjnym procesem skrytym w DNA. Nie było żadnej decyzji, od której mogłabym się odwołać. Wiem, że nie mam tu nic do gadania. Ona zostaje na dobre. I na złe.

Prawdę mówiąc, nie wiem, co dalej. Młodsze się nie robimy. Co roku jesienią – jesienią mam urodziny (czy powinienam napisać „mamy”?) – wiem o niej trochę więcej. Ta wiedza polega na rozpoznawaniu kształtu, na odkrywaniu ograniczeń. Poczucie nieskończonych możliwości i wiara w nieśmiertelność opuszcza mnie stopniowo, ledwo zauważalnie, a razem z nią przychodzi zgoda na to, co jest faktycznie, prawdziwie. Wciąż robię jej wyrzuty – nie taką książkę miała napisać, nie tak się umawiałyśmy. Dostrzegam, jak niekiedy zamieniamy się rolami. I nagle to ja zgłaszam pretensje, ona opuszcza głowę. Nie mogę zwalić na nią wszystkiego, przyznaję – czasami to ona potrafi się uśmiechnąć, zapragnąć.

Mam takie dni, gdy wierzę, że się dogadamy. Mamy czas. Cały czas, jaki mi pozostał. Pożegnań ani końców nie będzie, tak jak i nie było naszego początku. W takich chwilach kładę się na skraju łóżka, robię jej miejsce – może jak się wyśpi, odpocznie, nie będzie taka waleczna, pełna wymagań.

Wolę sobie nie wyobrażać starości w jej towarzystwie, ale kiedy to robię, widzę nas jako dwie pomarszczone, ciągnięte grawitacją do ziemi staruszki z angielskich komedii. Gadamy jedna przez drugą, wciskamy sobie na zmianę herbatę rumiankową i ciasteczka owsiane. Jedna nie może jeść mięsa, druga marchewki. Jedna chce nad morze, druga – w góry. Tą strzyka, tamtą kłuje. Komiczna udręka sprzecznych dążeń, ciągły pojedynek przemądrzałych głów i niespokojnych, słabiej bijących serc. Może tam, bliżej mety, zdołamy się polubić. Wszystko sobie wybaczymy.

Dziś rano podniosłam głowę znad umywalki i spojrzałam na nią. Byłam w nastroju rozjemczym, więc uśmiechnęłam się lekko. Nie odwzajemniła otwartości. Usta miała niby moje, ale trochę zaciśnięte. Oczy badawcze, czujne. Jakby próbowała się zorientować, czy jej nie nabieram. Rozciągnęłam opuszkami zmarszczki przy lewym oku – zamru-gała, upuściła jedną rzęsę na policzek. Obmyłam twarz wodą, żadnych łez. Zobaczymy się wieczorem, nawet gdybyśmy tego nie chcieli.



# Tysiąc stów

## Marcin Kurek

Drzwi odsunęły się i do przedziału wszedł mężczyzna.

– Przepraszam, wolne? Mogę się dosiąść? – zapytał.

Nikt nie odpowiedział.

– Już siadam, już siadam, tylko torbę dźwignę sobie na półeczkę – dodał. Położył miękką podłużny bagaż na siedzeniu, zdjął kurtkę i powiesił ją na wieszaku przy ścianie. Potem wskazał na torbę i powiedział:

– Ciężka, wie pan, bo ja dużo czytam. Znaczy książek dużo. I zawsze, proszę pana, gdzie bym nie jechał, bez kilku się nie ruszam. I to grubych.

Z wysiłkiem umieścił torbę pod sufitem i usiadł przy oknie tyłem do kierunku jazdy.

– Udało się – zadowolony klepnął się dłońmi po udach. – Teraz to się podróżuje, proszę pana, nie to co przedtem. Ale powiem panu, że najlepiej to się podróżowało dawniej, jak człowiek młody był. I na stojąco osiem godzin dawał radę. Tak jak kiedyś, proszę pana, to już nie będzie nigdy.

Przez chwilę milczał, patrząc na umykające domy za oknem.

– A ja, wie pan, zawsze czytałem – odezwał się znów. – Od kiedy pamiętam. Jeszcze w szkole, jak koledzy, wie pan, na dużej przerwie za piłką albo, nie daj Boże, do klozetu z dymkiem, to ja w kąciку cichutko z ładną książką, proszę pana, i już czytam. Zawsze czytam. I ładne, proszę pana, tylko ładne. Nie jakieś tam o zboczeńcach, panie, kryminały czy inna pornografia, co to, to nie. Tylko ładne, nasze. A z naszych to najbardziej Henryk Sienkiewicz. To geniusz, proszę pana. Największy artysta, jakiego matka ziemia nosiła. Pan sobie wyobraża, jaką karierę by zrobił, gdyby pisał po niemiecku? – powiedział, gestykulując z rosnącą ekscytacją. – Ja wiem, że już by go te szkopy próbowały oszwabić, ale on by się nie dał. Albo po francusku? Zazdrość byłaby o jego talent w całym Paryżu. Bo oni tam na Zachodzie, wie pan, bardzo zazdrośni są. I zdziwiłby się pan, bo nie o sławę wcale, tylko o pieniądze. A nasz Sienkiewicz na judaszowe europejskie srebrniki nie potasił się. Tłumaczyli go na obce języki, a on z tego grosza nie wziął. Bo, dzięki Bogu, po naszymu pisał, polszczyznę ubogacał i zostawił rodakom skarb, proszę pana. Wielki skarb.

Mężczyzna wstał, otworzył zamek błyskawiczny w torbie, pogrzebał w niej, wyjął książkę, zamknął torbę i usiadł.

– Mnie mamusia do poduszki, jak jeszcze malutki byłem, całe *W pustyni i w puszczy* przeczytała – powiedział, kartkując książkę kciukiem. – Caluteńkie, proszę pana, i to dwa razy. Bo sama bardzo lubiła. A jak się nauczyłem czytać, to sobie jeszcze ze trzy razy przeczytałem. Najbardziej mi się podobało, że Staś taki odważny jak każdy Polak i taki mądry, proszę pana. I od tych terrorystów sprytniejszy, co to już wtedy chrześcijan prześladowali i nam tu islamizację Polski chcieli zrobić, ale Staś nie pozwolił.

Położył książkę na stolyczku pod oknem, ponownie ją złapał i zaczął wymachiwać, mówiąc:

– Europa potem głupia sama ich wpuściła, ale myśmy się nie dali i się nie damy, bo nas Sienkiewicz uczył i nas ostrzegał. Wielka literatura,

proszę pana, największa – powiedział, uderzając książką o blat stoliczka.

– A *Trylogię*, proszę pana, to ja na wrywki. Zatóż się pan o stówę, co tam mówię, o dwie stowy, że w środku nocy, jak mnie pan obudzi, to ja całe strony wyrecytuję. Z dowolnej części, a najbardziej to z *Ogniem i mieczem*, bo to słuszne sposoby są.

Przez chwilę milczał, a potem popatrzył przed siebie, przekrzywiając głowę:

– Wie pan co? – powiedział. – Jak tak na pana patrzę, to coraz bardziej myślę, że skądś się znamy. Pan mnie nie kojarzy? Może ze szkoły? Albo z pracy? Kiedyś coś razem? A może nie.

Zamyślił się.

– I więcej panu powiem. Według mnie, każdy Polak *Trylogię* na pamięć umieć powinien. To jest nasza święta księga, proszę pana, świętsza niż te żydowskie aj waj. Ja wiem, że *Pan Tadeusz*, że to tamto, proszę pana, ale się panu przyznam, że do poezji to ja serca nie mam. Rymów nie rozumiem. I klóć się tam nasi zamiast razem bolszewika bić. W szkole, proszę pana, to ja bym zakazał tych wszystkich dziwactw. Tych, broń cię panie Boże, gojów czy gejów. Kiedyś, proszę pana, to się pedał na nich mówiło i każdy rozumiał. I Litwinów, bo co z nich za Polacy są? A już najgorzej, proszę pana, to z tymi Żydami.

Przyłożył do brody prawy nadgarstek i zamachał palcami.

– Ja antysemita nie jestem, żeby było jasne. Na tym mnie pan nie złapie. Jak Pan Jezus kazał, miłosierdzie dla innego mam. Ale niech on się panoszy u siebie, proszę pana. Nie mam racji? Jak pan jesteś w Niemczech, to tam się liczy interes niemiecki. Jak pan jesteś w Anglii, to królowa Anglików dogląda. A już najbardziej żydki swoich pilnują. Ja to bym bardzo chciał, żeby Polska tak się o nas troszczyła, jak się syjoniści o siebie troszczą. A u nas co, proszę pana? Każdemu wolno dokąd bądź i byle jak. I o kraju źle mówić. Antysemita, mówię, nie jestem, ale jak ten pisarz jest Żyd, to on tylko udaje, że pisze po polsku.

Ściszył głos i pochylił się do przodu.

– Normalnie, niby pisze, ale nie pisze. Wydaje się, że tak, ale jak się pan wczytasz, to czuć, że nie. Że jego myśli niezupełnie, wie pan, polskie są. Jakieś takie, wie pan, nieproste, pozakręcane jak pytajnik, wątpliwości same i rozmemłanie, a wielka literatura musi budzić ducha. Jak ten nasz Korzeniowski, proszę pana, Józef z matki Polki zrodzony. Za chlebem przed zaborcą w świat uciekać musiał, aż się go tam uczepili i w ojczystym języku pisać nie dali. Rodzonego naszego rodaka nam wynarodowili, proszę pana. Ale on, pod tym obcym językiem, cały nasz jest.

Zacisnął prawą pięść i uderzył nią o stoliczek.

– Hart ducha i bohaterstwo, wiara ojców i siła białego człowieka, proszę pana, to są wartości, które Polak wnosi do rodziny cywilizowanych narodów. Ja coś panu powiem. Poglądy trzeba mieć i owszem, ale ważniejsze, żeby nie wstydzić się ich głosić. Bo słuszny, zdrowy pogląd sam się obroni, proszę pana. Choćby tylko jeden sprawiedliwy go wyznawał. Niezłomność, proszę pana, niezłomność i nieustępliwość w walce z wrogiem to nasza najważniejsza cecha. I za nią podziwia nas cały świat.



Wstał, przejrzał się w lustrze nad siedzeniem, poprawił dłonią włosy i powiedział uroczyście:

– Niech się te szwabry, makarony, ruskie, żabojady i inne ciapa-te knedle nauczą, proszę pana. Żeby Polska była Polską, proszę pana, musi być polska, tak polska, jak tylko Polska być potrafi. Pięknie to ująłem, co?

Wciągnął powietrze nosem, uśmiechnął się do swojego odbicia i usiadł.

– Ja wroga nie szukam, proszę pana, ja nikomu nie wróg, ale niech i inni we mnie wroga nie widzą – powiedział. Spojrzał w okno, pociąg właśnie zatrzymywał się na stacji.

– No i co? Ja tak tu gadam i gadam, a pan ciągle milczy. Ja tyle, wie pan, w życiu książek przeczytałem, że na ludziach znam się jak mało kto. I nos mi podpowiada, a mój nos, jak pan widzi, niezgorszy, wstydić się nie mam czego, jeszcze nigdy mnie nie zawiódł. I wie pan co? On mi mówi, że ten facet, który siedzi naprzeciwko, nie zgadza się ze mną. I wrogo na mnie łypie.

Opart łokcie na kolanach, wbijając wzrok w fotel przed sobą. W tej samej chwili drzwi odsunęły się i stanęła w nich kobieta.

– Widzę, że pan sam w przedziale. Mogę się dosiąść? – zapytała. – Pomoże mi pan z torbą? Ciężka jest, bo ja, wie pan, dużo czytam w podróży.



# Literatura jak coach, czyli ja i mój wróg

Karolina Felberg-Sendecka

Moim wrogiem (nie jedynym niestety) jest zła literatura. Mówię to całkiem serio, bo tak właśnie traktuję tę sztukę. Nie znaczy to, że nie uznaję książek, które bawią, odrywają od codzienności, krzepią, uczą, doradzają, a nawet leczą. Uznaję je za konieczny margines. Główny nurt literatury traktuję jednak potwornie serio, stąd też nigdy w życiu nie wypowiedziałabym zdań: „Nieważne, co dziecko czyta, grunt, że czyta”, „W tym roku przyznaliśmy nagrody poetyckie poetkom, żeby zadowolić lewaków i uciąć dyskusje o parytecie”, „Nieważne, co pisarz wyraża, ważne jak”, „Nieistotne, jak pisarz wyraża, ważniejsze bowiem jest, co chce powiedzieć” itp. Literatura nie jest narzędziem, za pomocą którego załatwiamy interesy takiej czy innej grupy, nie jest także narzędziem do nauki czytania (do tego służą – nadmienię – podręczniki), a już na pewno nie chodzi w niej o to, by bile bzdurę wyrazić sonetem tudzież dać upust opinii (to można zrobić za pomocą rozmaitych mediów – polecam fora i kanały publicystyczne). Dlatego też za złą literaturę uważam zarówno poezję nieumiejącej zapanować nad formą Dominiki Dymińskiej, jak i poezję Wojciecha Wencła, której nie sposób komentować inaczej niż w trybie anegdotyczno-publicystycznym. Choć z drugiej strony, WW trafił już do podręczników i tylko czekać dnia, kiedy siły reakcyjne odbiją Polskę z rąk PiS-u, a na miejsce odestanych do lamusa historii „epigonii”, „Jarosławów” i „lawet” wklepią czy wlepią zaangażowane pisma DD.

Ale zacznijmy od początku, czyli od literatury dla najmłodszych. Ostatnią dekadę, chcąc nie chcąc, spędziłam w rozmaitych pokoikach dziecięcych i niestety nie raz, nie dwa w biblioteczce liczącej 200–300 tytułów znalazłam nie więcej niż kilka „prawdziwych” książek. Resztę stanowiły wyroby książkopodobne (tzw. książka z hipermarketu – kto grzebał w koszu, ten wie), gadzety w formie książki (siedemset części bóg wie czego, bo do kin wchodzi właśnie kolejna część *Star Wars*), pozycje stanowiące adaptację klasyki do formatu telewizyjno-kinowego (tu klasykiem są, rzecz jasna disneyowskie księżniczki). Szczęśliwie wszyscy zgadzamy się, że wyżej wymienione produkty to w większości śmieci – makulatura warta niewiele więcej niż kolorowe pisemka, które kupujemy sobie od czasu do czasu w podróży. Mnie znacznie bardziej martwi inny fenomen – książka, której podstawową funkcją jest coaching! Przykładem czegoś podobnego jest słynna seria z dziewczynką na „b”, którą wydaje dom wydawniczy na „e”. I jeśli coaching w firmie to „aktywna współpraca szefa z pracownikiem w celu eliminowania błędów w pracy i wspierania rozwoju pracownika” (internetowy *Słownik Języka Polskiego*, PWN), to celem coachingu domowego jest pokazanie dziecku pozytywnego wzorca, do którego winno ono w życiu codziennym dążyć. Basia, owszem, błądzi, czasem potyka się, czasem grzeszy, ale w toku każdej książeczki naprawia, co zepsuła, pojmuję, w czym zawiniła. I wszystko to czyni, nie wychodząc praktycznie poza dom, szkołę, okoliczny sklep oraz park – nie wykraczając zatem poza to, co zwyczajne, codzienne, znajome, krótko mówiąc, niczym nie ryzykując. Jakby do tego, by zmieniać się oraz dojrzewać, nie potrzebowała niczego poza codzienną rutyną oraz treningiem. No cóż, iście to rewolucyjna wizja psychiki ludzkiej!

Ujmę to delikatnie: nie wiem, czy byłabym dziś historykiem literatury i krytykiem literackim, gdyby w dzieciństwie karmiono mnie książeczkami, z których dowiadywałabym się zasadniczo tego, jak być (jeszcze) lepszą córką, siostrą i koleżanką. Chyba nie. Mniemam, że jestem tym, kim jestem, bo bardzo szybko zrozumiałam, że tylko dzięki literaturze mogę robić rzeczy niedostępne mi w życiu codziennym – przekraczać granice własnej wyobraźni, doświadczać wrażeń, jakich nie zapewniłaby mi nawet najbardziej kreatywna mama, a przede wszystkim konfrontować się z rzeczami nieosiągalnymi „tu i teraz”, na poziomie li tylko organoleptycznym. W mojej „ulubionej” części cyklu Basia wybiera się z mamą oraz rodzeństwem na zakupy, by w ich trakcie, pośród arcytypowych zdarzeń w supermarkecie, odkryć nieoczywisty sens słowa „gratis” oraz dowiedzieć się, jak istotną sprawą jest sporządzenie „listy zakupów” (Zofia Stanecka, *Basia i pieniądze*, Warszawa 2011).

Tak tam jest – nie kłamię. Nadmienię tylko, że seria o Basi wychodzi w czymś, co się nazywa „Literackim” (sic!) Egmontem. Radzę udać się na stronę wydawnictwa, by sprawdzić, jakich produktów Egmont nie opatruje słowem „literacki”. Włos staje dęba! Cóż, pozostaje mi cieszyć się, że dorastałam w czasach powszechnego głodu mitu, przygody i cudowności. Z najwcześniejszego dzieciństwa pamiętam niesamowitą Pippi, mieszkańców zjawiskowego Bullerbyn, króla Maciusia I i bohaterów klasycznych baśni (tak – tych okrutnych baśni braci Grimm, które, co wiem dopiero teraz, integrują osobowość lepiej niż najdroższa psychoterapia), potem już sama czytałam *Akademii Pana Kleksa*, *Mitologię* Parandowskiego, powieści Verne’a, Makuszyńskiego oraz Chmielewską – gardząc przy okazji znajdującymi się ciągle jeszcze w kanonie szkolnym „produkcyjniakami” rodem z PRL-u.

A propos „produkcji” wszelkiej – uwiktana niewolniczo w swój własny format Basia nie czyni niczego poza tym, że formatuje czytelnika. Strach pomyśleć, po co sięga wychowany na Basi czytelnik, łatwo się jednakowoż domyślić, kim jest (i na kogo głosuje). Basia to arcyśrednia dziewczynka z klasy średniej, lecz wcale nie jej arcyśredniość mnie tak odpycha i arcyprzeraża. Arcystrasznym konstruktem jest w tych książeczkach jej arcymama, która mówi do własnych dzieci językiem posthumanistycznym i zachowuje się jak cyborg, tudzież przedszkolanka, u której przedawkowano coaching:

Mama Basi była nauczycielką, ale od czasu kiedy została Mamą, pracowała niewiele, i to głównie na zlecenie. Teraz dostała propozycję napisania podręcznika do szkoły podstawowej.

– To bardzo ciekawe i odpowiedzialne zadanie – tłumaczyła zgromadzonej przy śniadaniu rodzinie. – Zawsze lubiłam uczyć, a teraz mogę mieć wpływ na to, jak będą uczone dzieci w setkach polskich szkół i...

– Mogę dostać jeszcze jedną grzankę? – przerwała Mamie Basia.

– Nie słuchasz mnie, córeczko, a ja mówię o ważnych rzeczach, Kiedyś zrozumiesz, jakie znaczenie ma to, z czego się uczysz... Z czym chciałabyś tę grzankę? [...]

– Basiu – Mama kucnęła obok Taty – bardzo lubię swoją pracę. Jest dla mnie ważna. Jak dla ciebie stawanie na rękach lub zabawa z Anielką. Nie chciałabyś chyba, żeby ktoś kazał ci na zawsze przestać robić którąś z tych rzeczy, prawda?

„Niechby tylko spróbowali!” – pomyślała Basia. Czuła, że bez zabawy z Anielką byłaby naprawdę zła. I nie-szczęśliwa. A na rękach i tak by stawiała... kiedy nikt nie patrzy! Tylko czy to możliwe, żeby dla Mamy praca była AŻ TAKA ciekawa?!

– To wszystko – ciągnęła Mama – nie znaczy jednak, że ty, twoi bracia i Tata przestaliście być dla mnie ważni. Przeciwnie! Lubię was i kocham najbardziej na świecie (Zofia Stanecka, *Basia i Mama w pracy*, w: też, *Wielka księga przygód. Basia*, ilustracje Marianna Oklejak, Warszawa 2014, s 109, 122).

W świecie Basi odpowiedzi pojawiają się prawie natychmiast po pytaniach i udzielają ich zwykle dorośli, najczęściej arcymatka. Kto matką jest, ten wie, że taki świat to bujda na resorach (na szczęście!), którą można się co najwyżej wzajemnie coachować. Wartościami zaś nadrzędnymi w kreowanym przez Stanecką świecie są: rodzina, praca, dobrobyt (konkretnie zaś – świadoma i zrównoważona konsumpcja). Klasa średnia jak byk! I żeby nie było: mnie nie chodzi o to, by Basi nie było. Niech będzie jedną, dwoma pozycjami w biblioteczce każdego małego dziecka. Naprawdę wystarczy! Znam jednakowoż domy, w których czyta się Basię na metry i mówi się o niej „fajna”, bo po jej lekturze dzieci nie mają pytań. Literatura, która nie rodzi pytań? W takim razie, co i kogo taka literatura rodzi? Czepiam się Basi, bo seria ta jest bardzo popularna, choć prawdę powiedziawszy podobnych książek w Polsce jest coraz więcej. Ja, przyznam, ziewam, czytając je dziecku li tylko z zawodowego obowiązku (dziecko też zasadniczo ziewa). Ktoś powie, a czym się różni *Dzieci z Bullerbyn* od takiej Basi? Dziecięcy bohaterowie Astrid Lindgren nie boją się wyjść z domu i pobiec tam, gdzie wzrok dorosłych nie sięga. Basia z kolei nie tylko bezustannie znajduje się pod kontrolą, ale i sama bezwzględnie domaga się rodzicielskiego spojrzenia. Dla niej świat to nic innego jak tylko domena supermatki. Tymczasem dorastanie to trudna sztuka oddzielania się – tak, proces ten jak najbardziej winien dotyczyć nawet wychowywanej w dobrostanie pięciolatki.





# MANICURE

*Jacek Hugo-Bader*

Simon to taki przestępca, jakich grywał Alain Delon. Od sympatii do niego nie można się uwolnić. Nosił broń, ale z tej broni do nikogo nie strzelano. Siedział w więzieniu, ale nikomu nie wyrządził krzywdy. Nie minął jednak rok od naszego spotkania i Simon zaczął strzelać. A może to nie on zaczął?

Po matce jest Ormianinem. Wysoki, wysportowany, o kaukaskiej, podobno powalającej, urodzie. W jego historii wątek liryczny, zupełnie jak w filmach z Alainem Delonem, jest bardzo ważny. Towarzyszką jego życia jest Emma, rosyjska Greczynka.

## Kociot

5 czerwca 1991 roku podczas pobytu Jana Pawła II w Polsce w komisaracie policji na warszawskim Ursynowie dyżurny odbiera telefon. Rozmówca informuje, że kilkoro obcokrajowców, którzy wynajmują mieszkanie w ich domu, łączy po nocach, unika lokatorów. A u jednego widziano nawet broń.

Policja uznaje, że grupę trzeba unieszkodliwić natychmiast. Do mieszkania przy ulicy Symfonii 2 wpada z łoskotem dwudziestu funkcjonariuszy z brygady antyterrorystycznej z bronią gotową do strzału. Policjanci są nabuzowani, rozdygotani, agresywni, błyskawicznie obezwładniają wszystkie osoby przebywające w mieszkaniu.

– Nie szarpacie mojej dziewczynki, ona bieriemieniona – prosi policjantów Simon.

– Ty się ciesz, że nie strzelamy – warczy któryś z nich. – Bo mamy pozwolenie.

Funkcjonariusze zatrzymują sześć osób. Simon Juzbaszew uważa się za Ormianina, Siergiej jest Rosjaninem, Emma rosyjską Greczynką, a najmłodsza, dwiętnastoletnia Olga – Ukrainką, tak jak Jewgienij. Arnold jest Żydem z Rosji, skąd wyemigrował z rodzicami do Austrii.

## Czołg

Po dwudziestu sześciu latach bardzo trudno ustalić, czy wśród policjantów, którzy wpadli do mieszkania na ulicy Symfonii, był Marek Krążek. W pracy był na pewno, bo stan alarmowy, Jan Paweł II ciągle w Polsce, ale czy to on warknął do Simona, żeby się cieszył, że nie strzelają – nie pamięta. Są niemal w takim samym wieku, niemal jednocześnie w 1981 roku mieli trafić do wojska. Tyle że Ormianin wylądował w Afganistanie, na wojnie, a Polak na ochotnika w ZOMO.

– To też jakby na wojnie! – czepiam się starego gliniarza. – Jaruzelskiej.

– Bo po technikum cholernie chciałem się wyrwać z tego mojego Sochaczewa do wielkiego świata w ramach wojska. Na szczęście jeszcze przed stanem wojennym biorą mnie na antyterrorystę do Komendy Stołecznej MO i całą wojnę, aż do 1989 roku, latam samolotami na trasach krajowych jako członek patrolu zabezpieczającego.

– Strasznie nudna robota.

– Nic podobnego! – unosi się pan Marek. – Taktyka, minierka, skoki spadochronowe, nurkowanie, potem lecisz do Wrocławia i z powro-

tem, i znowu bieganie, zapasy, strzelanie, minierka, skoki... Uwielbiałem to! Ja nawet czołgiem jeździłem, pokazywali nam, jak pilotować śmigłowiec, samolot. Pyszna zabawa.

## Strzelec

Dwudziestoośmioletni Simon Juzbaszew pochodzi z rosyjskiego Piatigorska, jego matka, Ormianka, jest nauczycielką, a rosyjski ojciec dyrektorem fabryki obuwia. Dzieciństwo Simona przebiegało więc w dostatku. Kiedy spotykamy się na więziennym widzeniu, Simon opowiada długo, jak szczęśliwie udaje mu się uniknąć wojska, jak zaczyna podróżować, poznawać ważnych ludzi, zawierać znajomości. To bardzo inteligentny młodzieniec, świetnie zorientowany w sytuacji politycznej Polski, dawnego imperium radzieckiego i świata.

Ale kłamię. Dużo później dowiaduję się z policyjnych dokumentów, że był żołnierzem Specnazu w wojskach Ministerstwa Spraw Wewnętrznych ZSRR, gdzie zdobywa dyplom strzelca wyborowego. Był więc kimś w rodzaju komandosa, walczył w wojnie afgańskiej. Kłamię więc, ale jakoś tak, że chce mu się wierzyć.

I kocha swoją Armenię do szaleństwa, i nienawidzi Azerów tak mocno, jak tylko na Kaukazie potrafią.

## Rycerz

Simon to wysoki, mocno zbudowany, ale szczupły mężczyzna – ostaniecznie komandos, do tego bujne brwi i ciemna, kaukaska gęba. Mówi z namysłem, cicho, niemal szeptem i bardzo wolno. Porusza się jeszcze wolniej, ale widać, że w każdej chwili może znienacka przyspieszyć, zmienić się w sprężynę. Ale póki co jest przyczajony, skupiony i bardzo grzeczny. Jakby zawstydzony. I uprzejmy nawet dla strażników więziennych. Uśmiecha się często i smutno – po kaukasku, ale takoj nie kawkaskij – mówi Emma, bo bardzo czuły, delikatny i rycerski.

Przekonują się do niego nawet więźniowie i strażnicy w areszcie na warszawskiej Białotęcie. Młody Ormianin osadzony jest na całkowicie izolowanym oddziale N, a więc dla niebezpiecznych. Naiwniacy tam nie siedzą, ale wszyscy jakoś uwierzyli w opowieść o ormiańskim bojowniku, szlachetnym chrześcijańskim rycerzu, który zbiori swój lud do walki z muzułmańską, azerską nawałą. Polubili go nawet trochę – chociaż Ruski.

W śledztwie Simon utrzymuje uparcie, że należy do organizacji, która uzbraja Armenię walczącą o wolność, a broń i amunicję, którą przy nim znaleziono, zamierzał przeszmuglować do swojego kraju.

W areszcie śledczym w Białotęcie, jak we wszystkich kryminatach, panuje ciągły harmider. Więźniowie porozumiewają się między sobą, wrzeszcząc przez okna. Podobnie można porozmawiać z kimś, kto przyjdzie pod okalające zakład mury. Takie spotkanie nazywa się „lipem”. Po swoim zwolnieniu Emma także przychodzi na „lipo”, nie widzi wprawdzie Simona, ale może się z nim porozumieć krzykiem. Kiedy tak rozmawiają, Białotęka cichnie jak makiem zasiał.

Przez pół godziny, poza kochankami, nikt nie puszcza pary z gęby.

## Komando

Policja zupełnie inaczej patrzy na działalność grupy Simona. Według nich Simon, Arnold, Jewgienij i Siergiej mieli być zbrojnym komandem mafii rosyjskiej w Polsce, grupą egzekucyjną. Planowano wykorzystywać ich do załatwiania porachunków między gangami i do obrony przed polską konkurencją.

W wolnych chwilach bandyci dorabiali na boku ściąganiem haraczy od radzieckich handlarzy, czego dowodem jest wielki worek drobnych banknotów znaleziony na Symfonii 2.

Simon i Arnold odpowiadać będą przed sądem za nielegalne posiadanie broni, a więc za czyn zagrożony karą do pięciu lat pozbawienia wolności. Jeżeli sąd ustali, a jest to niemal pewne, że ich bronią nie popełniono żadnego przestępstwa, nie należy się spodziewać, by dostali więcej niż dwa lata w zawieszeniu.

## Rewizja

Olga Kuleszowa, dziewczyna Arnolda, jest niewiarygodnie piękna, przy tym kokieteryjna, zmysłowa i świadoma swoich wdzięków.

Spotykamy się w Grudziądzu. Wiem, że będą ją zwalniać, więc czekam pod bramą kobiecego więzienia i odwożę ją do Warszawy.

Po drodze zatrzymujemy się wiele razy. W motelu, bo głodna, koło zamku w Dobrzyniu, bo chce obejrzeć. Koło jakiegoś sadu przesadza ogrodzenie jak akrobatka i przynosi w garściach i zębach ziolo-

ne jabłka – ja też dostaję jedno... To nadgryzione. Pod Ostródą żąda, żebym się zatrzymał, bo chce wykąpać się w jeziorze. Nim zdążam stanąć, na siedzeniu obok kierowcy przebiera się zgrabnie w jednoczęściowy, czarny kostium kąpielowy. Oczywiście świetnie pływa. Także delfinem.

Jest doskonała w każdym szczególe, nawet w środku! W więziennym szpitalu wszechstronnie ją badają – stwierdzają, że jest zdrowa jak rydz, w świetnej kondycji i w ciąży. Dziewczyna chce pozbyć się dziecka, więc zostaje przewieziona z Warszawy do Grudziądza, gdzie w więziennym szpitalu jest oddział ginekologiczny. Lekarze odmawiają jednak wykonania zabiegu, bo płód ma już czternaście tygodni.

Którejś nocy do jej celi przychodzą dwaj mężczyźni. Mówią, że to rewizje i że ma się rozbierać. Jeden z nich bierze jej ubranie i wychodzi. Drugi zostaje. Rzuca się na nią, szarpie, targa za włosy, mówi, że wszystkim daje, więc i jemu musi. Dziewczyna się broni, krzyczy, grozi, że wszystko powie prokuratorowi. Pomaga.

– Nie jestem kurwą – mówi Olga w samochodzie. – Dawałam różnym, ale zawsze dla przyjemności.

– Co teraz zrobisz?

– Jadę do Moskwy na zabieg. U nas nie takie cięższe przerywają.

## Voque

Emma Murmuridis jest rosyjską Greczynką i przeciwieństwem Olgi. Trochę wyniosła i dystygowana. Ukończyła instytut farmaceutyczny, poza rosyjskim i greckim zna angielski, niemiecki i włoski. Bardzo oczytana. Zawsze elegancko ubrana, z ładnym starym złotem na szyi. Przez kilka pierwszych tygodni po aresztowaniu jest rozdygotana, bez przerwy płacze, nie chce jeść, pali jednego papierosa za drugim. Sprawdzony przez policję lekarz rozkłada ręce.

– Dziewczyno, ty tego dziecka nie utrzymasz – mówi.

Następnego dnia Emma zaczyna krwawić, a jeszcze kilka dni później wszystko z niej leci. Traci dziecko, które chciała urodzić. Z dała od swojego ukochanego zupełnie się rozsypuje. Śledczy próbują wykorzystać sytuację, dociskają, straszą. Liczą, że dziewczyna wreszcie pęknie, zacznie sypać. A ona prowadzi z nimi bardzo finezyjną grę. W areszcie na każdym kroku zostawia po sobie puste pudełka po amerykańskich papierosach vogue, rzadko w Polsce wtedy spotykanych. Simon, prowadzany na przesłuchania po tych samych korytarzach, do tych samych pokoi, widzi, że Emma ciągle tu jest. Policjanci bardzo późno zauważają te manewry.

## Kociół

Pani Barbara ma dwa mieszkania, więc to na placu Hallera w Warszawie wynajmuje. Ale kiedy jej lokator zaczyna zalegać z opłatami, kobieta postanawia osobiście pofatygować się po należność. Nikt nie otwiera, więc, korzystając z zapasowego klucza, wchodzi do środka. Nikogo. Zaczyna myszkować, zagląda do szafy, a tam pusto, do regału, do komody, wersalki... W wersalce torba, zagląda, a tam pistolet maszynowy, kilka rewolwerów, amunicja, granaty.

Pani Barbara zmyka i o wszystkim opowiada kuzynowi, który kiedyś pracował w milicji, on przekazuje sprawę dawnym kolegom z pracy – ci komu trzeba.

Policjanci zakładają kociół. W mieszkaniu instaluje się funkcjonariusz z komendy dzielnicowej i czterech członków brygady antyterrorystycznej z komendy stołecznej. Dwaj inni komandosi czekają pod blokiem. Po dwóch-trzech godzinach oczekiwania dają znać przez radiotelefon, że na górę idzie dwóch młodych mężczyzn.

Jest koniec maja, poniedziałek, za dwadzieścia ósma wieczorem. Robi się ciemno.

## Awers

– Simona Juzbaszewa poznaję na bazarze pod warszawskim stadionem dziesięciolecia – opowiada Jarosław, który przyjechał do stolicy ze Lwowa. – Umawiamy się, że odstąpi mi swoje mieszkanie, z którego nie korzysta, więc jedziemy je obejrzeć, ale pod drzwiami okazuje się, że coś jest nie tak. Simon nie może otworzyć, szarpie się, klnie, wścieka, mówi, że to na pewno malcziki iz Kijewa... Chcę więc uciekać, próbuję go odciągnąć, ale gdzie tam...

Młody Ormianin jest jak w amoku. Przeklęty zamek wreszcie ustępuje, chłopak wpada do mieszkania, biegnie przez korytarz, Jarosław tuż za nim, przebiegają obok łazienki, kuchni...

– Z której ktoś skacze mi na łeb – opowiada Jarosław. – Padając, widzę, że w jedynym pokoju przy oknie odstawia się kotara, a za nią jakiś człowiek z pistoletem w ręku pruje raz za razem z kilku kroków prosto w Simona.

– Jak jest ubrany?

– Normalnie – Ukrainiec wzrusza ramionami. – Dżinsy, koszula, adidasy i tylko czarna maska na twarzy. A ja leżę na podłodze, na mnie trzech facetów, którzy wrzeszczą, że to policja, łeb mi pęka, bo któryś z pocisków rozwala mi ucho, a przede mną w wielkiej kałuży krwi Simon podziurawiony jak sito. Rzęzi, a po chwili ucicha.

## Rewers

– Kilka godzin siedzimy na tej wersalce z arsenatem pod tyłkiem, aż wreszcie słyszymy chrobot przy drzwiach – opowiada Marek Krążek, który dwadzieścia pięć lat temu dowodził antyterrorystami podczas tej akcji. – Bardzo długo manipulują przy zamku.

– Bo zamknęliście drzwi nie na ten zamek, co trzeba. Simon wiedział, że ktoś był albo nawet jest w mieszkaniu, bo on zawsze zamykał drzwi tylko na górny zamek, a wy, to znaczy pan, zamknął na dolny. Fatalna pomyłka.

– No tak – przytakuje emerytowany policjant.

– Każdy człowiek, widząc, że coś jest nie w porządku, zrezygnowałby, odszedł od drzwi, ale Simon to nie jest facet, który się wycofuje. Był pewien, że w środku jest konkurencja, inni bandyci, więc wchodzi i widzi uzbrojonego mężczyznę po cywilnemu.

– I w masce na twarzy.

– Wszyscy takie mają – mówię. – Nawet ja, a on miał kilka w samochodzie. Mógł się pomylić.

– Jasne! Ale też nie strzelam od razu. On wbiega, ja naprzeciwnie, a Piotrek, mój partner, zza drzwi łapie go za szyję...

– Pozostali policjanci w tym czasie rzucają się z kuchni na łeb drugiego z przestępców – ustalamy wspólnie przebieg wypadków.

– A Simon wywija się jakoś zwinnie Piotrkowi, wyciąga pistolet i do mnie strzela, czuję szarpnięcie, czuję, że pocisk trafia mnie w łokieć... Och ty, kurwa! Więc bach, bach i znowu bach, bach, bo uczyli nas, żeby strzelać dubletami, po dwa strzały. Więc strzelam i cały czas trafiam, a on ciągle na nogach! I z bronią w ręku, więc znowu bach, bach i jeszcze raz bach, bach z pięć, a może z sześć razy. I dopiero po tym ostatnim dublecie Simon osuwa się na podłogę.

### Awers

Staszek poznaje Simona na Białotęcie, siedzą w jednej celi na oddziale dla niebezpiecznych przestępców. Wychodzi pierwszy, a kiedy zwolniony zostaje także jego nowy kumpel, wynajmuje mu mieszkanie na swoje nazwisko. To na Placu Hallera.

– Rozumiesz – Staszek przewierca mnie swoimi bandyckimi oczami. – Policja w tym mieszkaniu czekała na mnie. Wiedzieli, kto je wynajął. To była egzekucja. Wykombinowali, że to ja zmontowałem tę broń, że się przekwalifikowałem, że utworzyłem mafię.

– Powiedz, co Simon kombinował?

– Azerom broń dźwigają Turki, a Ormianom, tacy jak on. Jest więc zwyczajnie handlarzem bronią, który czasami zajmuje się także szmuglowaniem jej przez granicę, ale bywało także, że ściągał forsy od jakiś pospolitych bandziorów, szemranych biznesmenów, oszustów, malwersantów... Ale na pewno nie znajdziesz jednego porządnego człowieka, któremu by zrobił coś złego.

### Legenda

– To nie była żadna egzekucja! – Kuba Jałoszyński podnosi głos. – Przełożeni ocenili, że akcja policyjna została przeprowadzona bezbłędnie.

Jałoszynski, rzecz jasna, ma na myśli siebie. Teraz jest profesorem, wykładowcą w szkole oficerskiej i policyjną legendą. Ale gdyśmy rozmawiali dwadzieścia pięć lat temu, był zastępcą dowódcy w oddziale antyterrorystów. Dla niego było wtedy jasne, że przestępcy, z którymi przyszło się zmierzyć jego chłopakom, byli znakomicie wyszkolenymi zawodowcami, w działaniu których nie było nawet odrobiny chaosu. Jałoszyński próbował mi tłumaczyć, że nie jest do ustalenia, kto pierwszy strzelał, ale dla mnie jest oczywiste, że to musiał być Marek Krążek, który czekał z pistoletem w ręku za kotarą, więc nie pozwoliłby na to, żeby przestępca, który wyciąga go dopiero zza pazuchy, pierwszy oddał strzał. To po prostu niemożliwe.

Oglądałem maleńkie, osiemnastometrowe mieszkanko na Placu Hallera, w którym doszło do strzelaniny, gdzie padło aż szesnaście strzałów. Policyjni technicy wydtubali już ze ścian i podłogi wszystkie pociski. Myślę, że Simon, wbiegając do pokoju i widząc zamaskowa-

nego człowieka, w džinsach i adidasach, który mierzył do niego z pistoletu, sięgnął po swojego walthera i wtedy dostał całą serię pocisków. Nim jednak upadł, zdążył wystrzelić na oślep dwa razy – raz w podłogę, sobie pod nogi, drugi pocisk utkwiał w łokciu policjanta. Marek Krążek wypalił ze swojej służbowej broni aż czternaście pocisków, prawie cały magazynek, nie można więc się dziwić, że niegroźne rany odnieśli także Jarosław i dwaj policjanci, którzy walczyli z nim w przedpokoju. Trafiły ich albo ten jeden, jedyny pocisk z policyjnej cezetki, który chybił, albo któryś z dwunastu, które przeszyły Ormianina na wylot.

Kiedy go wiozą do szpitala, tkwi w nim tylko jeden pocisk.

### Rezerwy

Bo Simon żyje. Ma trzynaście ran postrzałowych klatki piersiowej, brzucha i uda. Jest nieprzytomny. Karetka pogotowia odwozi go do szpitala pod wezwaniem Przemienienia Pańskiego.

– Było widać, że jego szanse nie są wielkie – mówi lekarz, który tej nocy miał dyżur chirurgiczny. – Był na wyczerpanych rezerwach, ale wyraźnie nie chciał umierać.

Rana pod pachą obficie krwawi, więc od niej lekarz zaczyna operację. Okazuje się, że tętnica i żyła pachowe są uszkodzone. Chirurg podwiązuje je i otwiera klatkę piersiową. W jamie opłucnej mnóstwo krwi, płuco postrzelone i poszarpane w kilku miejscach. Dużą część trzeba usunąć. Lekarz otwiera brzuch, a tam rana nerki, wątroby, jelita grubego. Usuwa nerkę i część jelita. Pielęgniarki co chwila biegną do łodówki po krew, Simon dostał już ponad pięć litrów i jest obawa, że może zabraknąć.

– Miał rany na głowie? – pytam.

– Nie miał. Tkwiał w nim tylko jeden pocisk. Oddałem go policjantom, którzy cały czas pilnowali nas pod salą operacyjną. Byłem bardzo zdziwiony, kiedy mi powiedzieli, że to gangster. Był taki wymuskany. Pan wie, że miał starannie wypielęgnowane paznokcie?

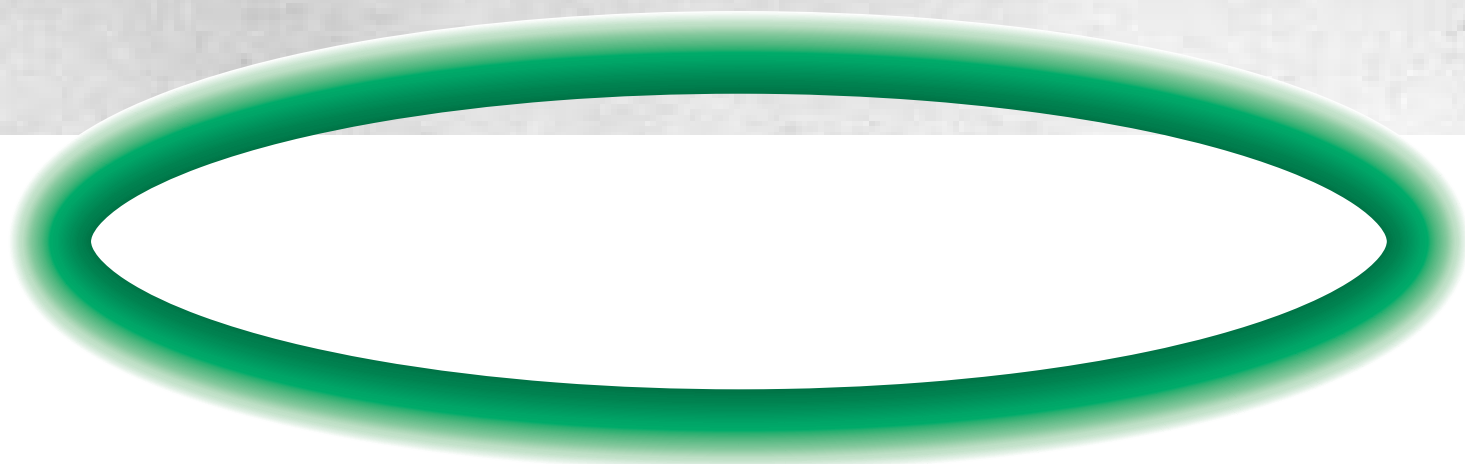
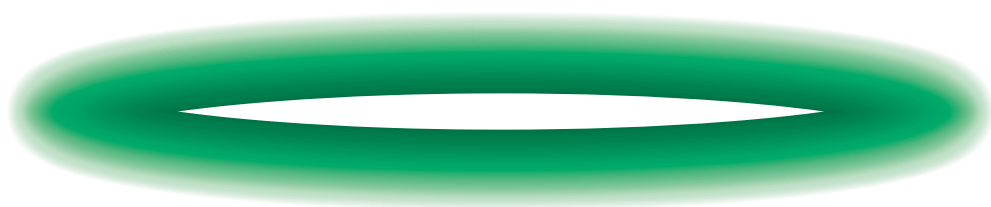
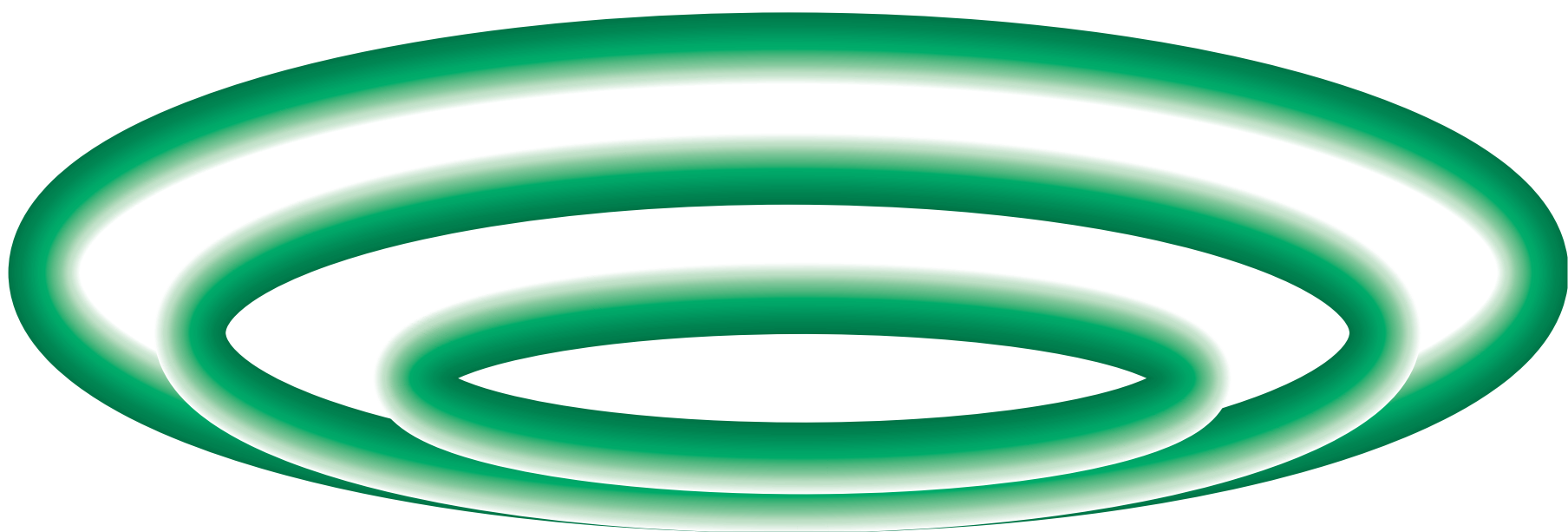
To była jedyna strzelanina w życiu ранego na Placu Hallera sierżanta policji Marka Krążka. Bo i okazji nie było już wiele. Półtora roku później podczas ćwiczeń na wieży spadochronowej popełnia błąd, nie trafia karabinczykiem w linę do zjeżdżania i wali się z kilku pięter na beton...

A przede mną zdjęcie Simona. Leży na zimnym, metalowym stole. Na piersiach i brzuchu ogromne, kilkudziesięciocentymetrowej długości szwy. Ścieg niezbyt gęsty i staranny, jak to po sekcji zwłok albo u osób, które zmarły w trakcie operacji. W ciało na wylot powbijanych kilkanaście długich, metalowych sztyc podobnych do sztyletów – mają pokazywać, jak przebiegają tory pocisków w ciele. Naszpikowany żelazem Simon wygląda trochę jak martwy cyborg, odłączony od zasilania android, stalowy jeżozwierz. Jeżoczłek. Jeżotrup w zasadzie.

Tekst jest fragmentem nowej książki autora pod tytułem *Audyt*, która ukaże się na wiosnę 2018 roku.



***Wiersze***



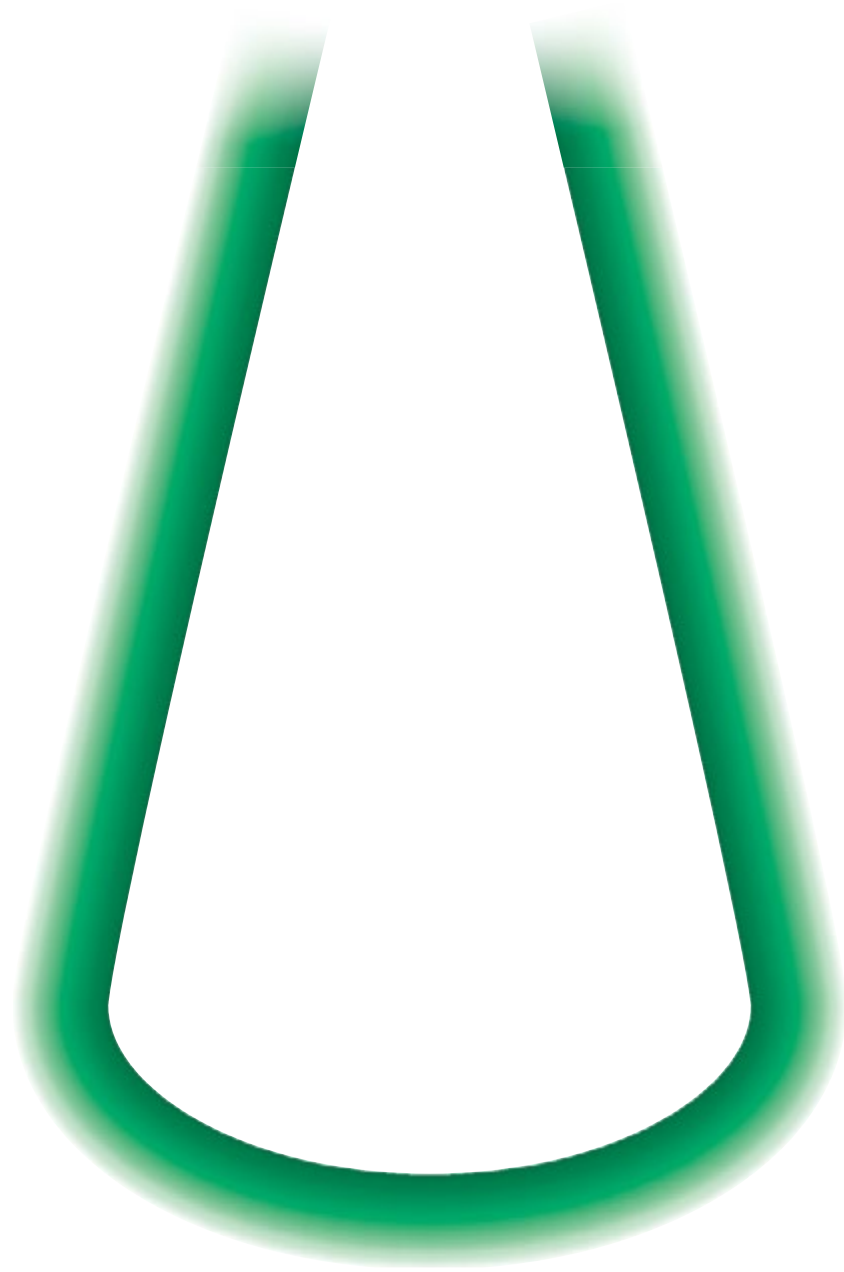
Załatwiamy pewne sprawy,  
ale zaraz inne zajmują ich miejsce.

Po remoncie dom znów nadaje się do mieszkania,  
ale ogród wygląda na zapuszczony.

Wczoraj zamontowałem tam lampę –  
w końcu można posiedzieć wieczorem na tarasie i poczytać.

I jeszcze zeszyt, w którym piszę: znalazłem go w garażu,  
przetarłem szmatką – znów jest użyteczny.

Natomiast pióro jest nowe  
i, spójrz, daje życie.



Damian pucuje tatuaż  
kremem do tatuażu.  
Violka świeci cyckami  
na insta, śni jej się  
*deplatforming*.  
Dziaders wkłada  
koszulkę z dziadersem.  
Wrona zamyka dziób.

Damian ciśnie na siłce.  
Violka dorzyna wiersz.  
Dziaders ogląda setkę.  
Telefon dzwoni, gdzie chce.  
Telefon dzwoni już sam.  
Wrona lustruje złomiarza.  
Paragon nie odpowiada  
kryteriom podziału dóbr.

Damian ślini koszulkę  
meczową. Damian dumę ma  
narodową. Violka ma płęć  
kulturową. Robi w Spółdzielni  
Parytet. Wrona ma duszę  
z nadania. Dziaders ma zmięty  
bok. Kolektyw organizuje.  
Mundur zobowiązuje.

Damian drobi  
sprężystym kroczeniem.  
Viola woli ładne widoczki.  
Huczy patriotgangsta,  
mruczy indie prekarne.  
Violka z Maszką  
mapują mikroagresje.  
Wrona ślipi, stabuje jej wzrok.

Kolektyw nie cenzuruje,  
kolektyw wprowadza ład.  
Kłym Sawur walczył z pańszczyzną,  
Pol Pot z cudzoziemszczyzną,  
Lenin miał dobry gust.  
Czaszki są estetyczne.  
Damian lubi popatrzyć.  
Violka woli bez soli.

Mama Damiana prasuje  
koszulkę mocno wyklętą.  
Violka liczy przechodniów.  
Przechodzą bez parytetu.  
Bandera zrobiłby lepiej.  
Albo z brygady słodziaki,  
bo ONR kocha lud prosty  
i archanioła spod gapy.

Maszka lizałaby stopy  
gwardzistom szanghajskiej  
komuny. Violka wołałaby diabła  
niż dyktat Amerykanów.  
Traktor uwzniośla kobietę.  
Dziaders patrzy wyniośle.  
Dupa jak zwykle z tyłu.  
Kułak wisi na sośnie.

Piśmienna kłania się Mao,  
lecz mango jej nie wyrośnie.  
Dziaders złą płytę nastawia.  
Damian ma kebab plus bro.  
Violka prześwietla złoto. Całe złoto  
z mizogina Chrystusa. Gdyby go  
wyskrobała, krzywda by się nie stała,  
panbóg z wrażenia by usiadł.

Sielanka toczy się sama.  
Zatacza się jak pijana.  
Maszka ma z balsy taczankę.  
Damian wyciera nos z sosu.  
Violka nie reflektuje, żałuje KPP.  
Dziaders handluje jadem.  
Nie będzie fejmu ni hajsu.  
Sielanka ma krzywy zgryz.

Storno, nic się nie stało.  
Storno. Możesz już iść.



W każdym nowym domu podchodzę do okien.  
Jakbym sprawdzał drogę ucieczki.  
„Ładny masz widok”, mówię w zamian,  
Albo „Całkiem niezła perspektywa”,  
Żeby zacząć, zanim wódka czy whisky  
Rozwiąże nam sznurówki i języki  
(Nigdy nie wierzyłem, że dożyję czasów,  
W których gorset = perwersja)  
I potem cały czas mam z tyłu głowy  
Romb boiska i faceta, który moknie na środku,  
Ściany płaczu z wielkiej płyty,  
Pętlę i czternastkę z opuszczonym pantografem,  
Albo bezkresny ugór, falisty cień dawnej obfitości,  
(Ślad po najbardziej wzruszającym oszustwie,  
Jakie jesteśmy w stanie wymyślić).  
Coś w stylu: mógłbym być wszędzie,  
Ale jestem tutaj i wszędzie leży obok mnie (wow!),  
Albo: z tobą jestem w tych wszystkich krajach naraz,  
W których nie jestem/nigdy nie będę.  
To nie tak, że mam na wszystko odpowiedź,  
I dlatego znowu nam się nie udało.  
Pamiętam, że ktoś kiedyś mnie zapytał:  
„Po co zdjęłeś buty, skoro stoisz w oknie?” –  
Naprawdę nie wiedziałem.

Mogę tego nie pisać ale to rośnie, sieje  
i coraz trudniej podpalić papierowe miasto  
które pełźnie mokre pod szyldami  
Mogę tego nie pisać ale będę  
jak dziobaty facet na szczudłach  
z czymś zbyt ciężkim i metalowym  
na ramieniu – z językiem przyklejonym do brody.  
Serio, chłopaki, mogę nie pisać  
ale to nie znaczy, że nie widzę w nocy  
i że styczeń, ta przerośnięta trąba  
wywrócona na śnieg, nie zapycha nas  
surowym ciastem. I że nie opowiem  
ile waży ciało pod pokładem samolotu  
i dlaczego jest coraz łżejsze.





1.

Ktoś kradnie pierwsze słowa, zostają ostatnie.  
 Nie ma kogoś, zostaje samo tylko kradnie.  
 Nie kradnie, lecz zdobywa, komuś to na rękę,  
 nie ma ręki, lecz kradnie, chciałby ukraść więcej.

Kradnie i gdzie to chowa? Nie chowa, gromadzi.  
 A im więcej uzbiera, tym jest większy nacisk,  
 by to oddał, oddaje w postaci słownika,  
 zawsze to książka, choć z niej przecież wyciekł

cały sens. Sens jest płynny, ktoś go podtrzymuje,  
 w podtrzymywaniu więzną stada czułych ujęć,  
 ujęty, więc przeprasza, że się nagle znalazł.  
 Gdzie słowo, tam przecinek, rylec tam, gdzie skała.

2.

Więc nie jesteśmy już ludźmi? Zobaczmy, jak się to pisze.  
 Uchylmy drzwi i sprawdźmy, kto to znowu przyszedł.  
 Jakiś gość, trzeba pod stół czyjeś głowy zamieść.  
 Nie ma głów, jest przebicie, nie ma słów, jest pamięć.

Komu zabierzesz rozwój? Więdnie stół, pokrywa  
 go sieć znaczników, kto przy nim siadywał,  
 Marsjasz? Dawno miał zostać obdarty ze skóry,  
 a tymczasem znów śpiewa, po raz nie wiem który.

3.

Rozbicie jest jak gwiazda. Trwający miesiącami  
 wybuch, płody nicości, które łatwo znaleźć  
 pod łóżkiem, to jedyny mebel, jaki mam na widoku,  
 jestem taki wyraźny, jakbym miał się poczuć

czynnym obiektem czyjejś natarczywej dłoni,  
 która jest jakaś nie do końca ukształtowana  
 i nawet nie wiem, czy należy do Sługi, czy do Pana,  
 ale mnie głaszcze, jak miło, ten spragniony

pieszczot kotek to ja. Jest mi przeraźliwie  
 dobrze, z racji bycia. Naiwnie, lękliwie  
 poddaję się pieścizocie. Tą ręką  
 kieruje bezwład. Mruczę. Jebać piękno.





W porządku – październik haczy mnie o deszcz. Nie będzie kary, bo jestem tu jedna, jedna. Na dole biznesmeni i tatuatorki mkną na hulajnogach w oka cyklonów i zup.

Jestem tu jedna, jedna i zostanę z deszczem, bo jest jeszcze przed

wiecem i dawno po wiecu, po wszystkim. Och, dajmy spokój z tymi emeryturami, bo jestem tu jedna, jedna – i kto miałby mi płacić? Zimne schody w srebrnych pałacach firm, ich krzywe odbicia w balustradzie, walki klas

w okolicznych podstawówkach – wszystko wchodzi we mnie, podbija listę i paruje, chociaż nie ma tu słońca, nie ma i nie będzie. Bo kiedy przychodzi co do czego – co do czego, się pytam? – jestem tu jedna, jedna.

Otwieram list, jakby naprawdę był listem i czytam, że nigdy nie użyłam słowa kurwa na piśmie, i widzę, co to może oznaczać, widzę, co natychmiast powinnam, jakie pola mam jeszcze do obrobienia i widzę jak wszystkie

pochylamy głowy twarze kąpią się nam w pikselach, mamy ten pierwszy milion rzęs i wreszcie bardzo dużo oddechu, to jest nasz oddech, nasze pierwsze powietrze, czuwają przy nas wszystkie nasze zwierzęta: nie,

długość tego zdania jest nasza, deszcz jest nasz,

w tej jednej jedynej wersji wszystko jest, kurwa, nasze.

# aluminioza czapeczka

*Kamila Janiak*

bał się, nie ufał śmieciarzom  
bo praca listonoszy na osiedlu

nie wykazywała żadnej regularności.  
ludzi przyjmował od pasa w górę

na tle koła wyciętego ze ściany.  
czasem łpał, nigdy nie otwierał,

szczególnie gdy widział oko.  
w kuchni obok zapasów jaglanki

stał karton rolek folii aluminiowej.  
bał się, nie ufał kontroli powietrznej,

bo praca jego mózgu wabiła  
chemitrailsy o twarzy madonny.



śniłem, że całuję twoje oczy  
 i ostatkiem sił  
 pilnuję się, żeby ich nie zjeść  
 w szczelinie czasu, kiedy kasztanowiec już serio  
 przymierzał się do pylenia  
 a jesion dopiero wysuwał listki  
 takie ledwo-ledwo  
 teraz jesion pyszni się, kasztanowiec nie odstaje  
 zespół gra niemożliwy rytm z szaleńczą pewnością  
 niech żyją tzy! do nawilżania źrenic  
 i niech żyją tzy! z radości  
 tkliwa iskra przeskakuje  
 pulsują fiolety w pochytych cieniach

nie dokuczaj mu tym, że jeszcze ktoś cię pragnie  
 nie nadużywaj władzy królowej serc  
 męczyzną stosunkowo łatwo uszkodzić  
 szczególnie wrażliwego  
 a on jest wrażliwy, to wiem

myślałem, że będę musiał go znienawidzić  
 przecież powiedzieli mi, że to on  
 zdobył przychylność twojego serca  
 lecz podsłuchałem jak w nadbrzeżnej knajpie  
 mówi do towarzysza pijaństwa:  
 to było zanim ją poznałem  
 zrozumiałem, że dzieli swoje życie  
 na czas przed spotkaniem ciebie i po  
 zrozumiałem, że nie potrafię go nienawidzić  
 że jesteśmy braćmi  
 we wpadaniu w twoje oczy  
 i nastuchiwaniu twojego głosu

przez sześć dni nie słyszałem twojego głosu  
 i myślałem, że zatrą mi się zastawki  
 a w arteriach i naczyniach włosowatych  
 uspią kopce rdzy

pomyślałem o tych wszystkich  
 którzy nie słyszeli twojego głosu ani razu  
 ani razu nie utonęli w twoich oczach  
 jak leżą, czarni, poskręcani  
 jak spalone resztki ścierniska  
 bezwolni jak skrzela ryby na straganie  
 sprasowani jak ogniwa w powerpacku  
 otwórzmy noc, spotkajmy się  
 w punkcie przecięcia stożków zdarzeń  
 otwórzmy noc, niech absolutna przeszłość  
 w najdelikatniejszy sposób dotknie  
 bezwarunkowej przyszłości  
 otwórzmy noc, niech nie zabliźnią się szczeliny  
 niech przez każdą wleje się lśnienie  
 twojej rosy wystarczy  
 dla wszystkich źdźbeł na łące

twoim światłem zaczyna się świt.



Nie powinien być dzieckiem,  
kto się boi motylcy.

(Opisali ją, dzieląc na czworo – w czterech częściach:  
najpierw lekarz pokładowy,

potem kupiec, po nim – demokratyczny narrator, w końcu kobieta z łbem pociągłym)  
Nie powinien być dzieckiem, kto się boi

tablicy.  
(W pewne miejsca tylko z braćmi)

Nie powinien – kto unika  
ciemniejszej strony kałuży: podłóża.

W ruchu, skręcona jak szarfa, podziwiałam staw – imienia Cecyla, imienia Hipolita.

„jak woda wylana” nad tą rzeką Narew  
i rozsypane kości podróżnik błękitny  
ostudzone zgliszcza i bylica piołun  
między chmurami pokruszone szkło

i niechby jakieś inne słowo dla człowieka  
obok człowieka obok człowieka obok  
psa i pszczoły, słowo jak „ćma”, to znaczy  
„chmara” lub „mrowie” lub „ciemność”

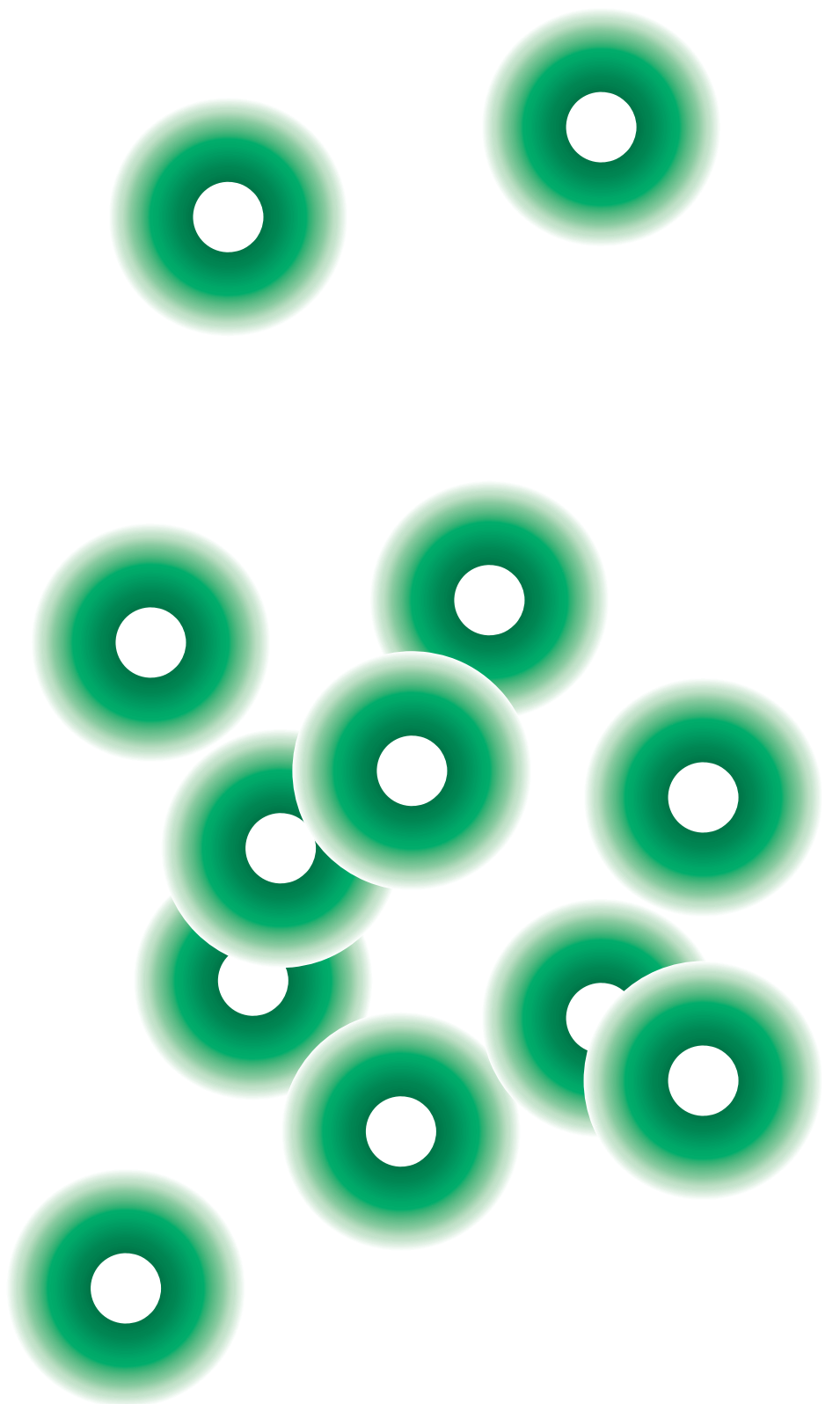
cień chmury w poprzek chudego księżyca  
nad rzeką:

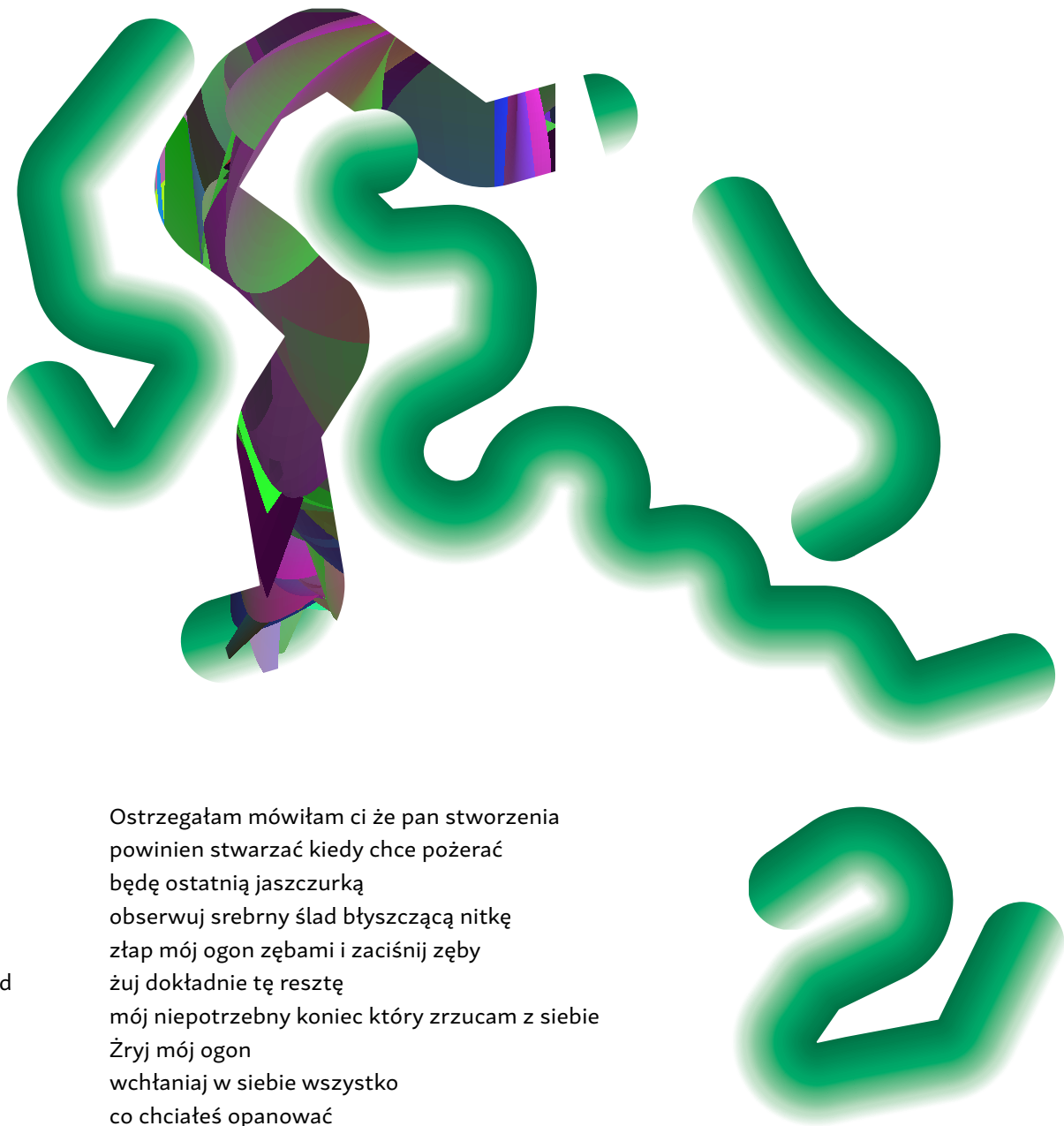
„Narew”

znaczy rzeka, natomiast człowiek

znaczy człowiek znaczy

człowiek znaczy (ląd) –





Co ty teraz zrobisz?

Będiesz pełzał przez osty i pokrzywy  
będiesz żywił się trującą trawą  
napętnisz pysk  
goryczą trawy chłodnym kwasem jagód  
na twoim grzbiecie  
kolce przekleństw i słoneczne bicze  
inkrustacja  
kostnego pancerza

Co ty teraz zrobisz?

Będiesz czotgał się w kierunku cienia  
ściskając w ręku jaszczurcze ogony  
będiesz powoził tym co utracone  
popędzał stratę  
nawoływał koniec  
Na gorzkich łakach rozrasta się wieczność  
pleni się  
w suchej ziemi  
w gorącym powietrzu  
zostawia  
blizny na kamieniach  
wypełnia jaskinie rudym wrzaskiem  
kłębi się w korzeniach

Kora trzaska  
z tych pęknięć wolno sączy się pamięć  
Co ty teraz?

Ostrzegałam mówiłam ci że pan stworzenia  
powinien stwarzać kiedy chce pożerać  
będę ostatnią jaszczurką  
obserwuj srebrny ślad błyszczącą nitkę  
złap mój ogon zębami i zaciśnij zęby  
żuj dokładnie tę resztę  
mój niepotrzebny koniec który zrzucam z siebie  
Żryj mój ogon  
wchłaniaj w siebie wszystko  
co chciałeś opanować  
rozpanoszę się w tobie i przez twoje oczy  
będę patrzeć jak zastyga fala  
Żywa skamieniałość objawia się światu  
z efektem łożarza  
jednak  
budowa czaszki jest nieco zmieniona  
w szczegółach tkwi  
szansa na przetrwanie



Wymiana i dar

Z dziejów zagrożeń w Polsce,  
czyli wersja płatna,  
z bonusem

Darek Foks

*Z braku gruntowniejszych analiz pozwolę sobie  
przedstawić kilka pobieżnych uwag.*  
Raoul Vaneigem

*Nie ma ładniejszej od żony naczelnika poczty.*  
zasłyszane w barze Kronsztad

*W celu wezwania pomocy wezwij pomoc.*  
napis w windzie

Głuchy łoskot  
maszyn

drżał w powietrzu  
mglistym. Każdy

mógł stać się  
kimkolwiek,

czymkolwiek,  
niczym. Można

było pomyśleć,  
że miasto lubi

ciemności.  
W te ciemności

zapuszczali się  
misjonarze,

którzy próbowali  
ulżyć mieszkańcom,

posługując się  
przykładem

i elokwencją. Inni  
obserwatorzy

dostrzegali jednak  
odmienną

rzeczywistość.  
Widzieli to

tak: „Rdzenni  
mieszkańcy

byli wzrostu trochę  
poniżej średniego,

ale kończyny i rysy  
generalnie mieli

dobrze ukształtowane.  
Szczupli, niegorzej

umięśnieni.  
Cechowała ich

wyprostowana,  
dumna i raczej

niezależna postawa.  
Poruszali się

krokiem miarowym  
i na ogół bardzo

szybko”. My  
widzimy to inaczej.

Głuchy łoskot  
maszyn

drżał w powietrzu  
mglistym. Czasami

miasto pozostawało  
jednak osobliwie

nieporuszone  
przez masy.

Głuchy łoskot  
maszyn

drżał w powietrzu  
mglistym. Boczne

ulice miasta  
przypominały

cienkie żyły,  
a parki były jak płuca.

Głuchy łoskot  
maszyn

drżał w powietrzu  
mglistym. Zło

i złoczyńców  
kreowało się

na bohaterów,  
natomiast

losem policjanta  
było stawać się

obiektem śmiechu,  
człowiekiem

niewielkiego kalibru,  
naczelnikiem poczty,

którego żona  
rzuciła dla komunisty.

Głuchy łoskot  
maszyn

drżał w powietrzu  
mglistym. Tak więc

w tym mieście  
pogłosek,

wahań fortuny  
i wszelkiego rodzaju

ekscesów  
wśród mas

wytworzyła się  
pewna patologia.

Tłum nie był  
jedynym

podmiotem,  
który pojawiał się

przy konkretnych  
okazjach,

bowiem  
równie ważna

była obecność  
samego miasta,

tego z drewna  
i tego z cegły.

Głuchy łoskot  
maszyn

drżał w powietrzu  
mglistym. Do ważnych

cech tłumy  
należała drażliwość

i gwałtowne zmiany  
nastroju. Liczne

protesty uliczne  
urządzali włókiennicy,

węglarze, kapelusznicy,  
szklarze, murarze

i przedstawiciele  
wielu innych

rzemiosł, których  
pełzające

uprzemysłowienie  
i wzrost cen żywności

wpędzały w coraz  
większą desperację;

warto popatrzeć  
na zdjęcia kobiet.

Głuchy łoskot  
maszyn

drżał w powietrzu  
mglistym. Miasto

pompowało energię  
swoich obywateli

w proste ulice,  
przez co życie w nim

stawało się  
coraz bardziej

skomplikowane.  
Ludzie nie umierali,

tylko przenosili się  
gdzie indziej. Tłum,

świadomy swojej  
tożsamości,

wysyłał sygnały  
samemu sobie.

Głuchy łoskot  
maszyn

drżał w powietrzu  
mglistym. Żadna

ranga  
i godność

nie była bezpieczna  
od obelg, chyba

że była to żona  
naczelnika poczty.

Głuchy łoskot  
maszyn

drżał w powietrzu  
mglistym. Tłum

miął świadomość,  
że jest nową

formą ludzkiego  
zgromadzenia.

Masy żywiły się  
nowinkami

i pogłoskami.  
Widowisku

zawsze towarzyszył  
jakiś hałas,

a ta cisza  
to cisza

wieczności, głuchy  
łoskot maszyn,

co jak ty drży  
w powietrzu mglistym.

# Program

## 13. festiwal opowiadania

<i>poniedziałek</i> 2.10.2017		<i>Oleśnica</i> <b>18:00</b>	<b>Goście: Ivana Myšková (Czechy) Marek Vadas (Słowacja)</b> Biblioteka i Forum Kultury, ul. Reja 10
<i>wtorek</i> 3.10.2017		<i>Kłodzko</i> <b>12:00</b>	<b>Goście: Ivana Myšková (Czechy) Marek Vadas (Słowacja)</b> Kłodzkie Centrum Kultury, Sportu i Rekreacji, pl. Władysława Jagiełły 1
		<i>Wałbrzych</i> <b>18:00</b>	<b>Goście: János Háý (Węgry), Daniel Odija (Polska)</b> Teatr Dramatyczny im. J. Szaniawskiego, pl. Teatralny 1
<i>środa</i> 4.10.2017		<i>Świdnica</i> <b>10:00</b>	<b>Goście: János Háý (Węgry), Daniel Odija (Polska)</b> Miejska Biblioteka Publiczna, ul. Franciszkańska 18
<i>czwartek</i> 5.10.2017		<i>Lubań</i> <b>17:00</b>	<b>Goście: Krzysztof Varga (Polska), David Zábranský (Czechy)</b> Miejski Dom Kultury, ul. T. Kościuszki 4
		<i>Wrocław</i> <b>16:00</b> <b>16:15</b>	<b>„Opowiadanie 6” – premiera</b> <b>„Młodość Conrada” – dyskusja:</b> Tomasz Broda, Marcin Kurek, Anna Wanik, Agnieszka Wolny-Hamkało Galeria BWA Dizajn, ul. Świdnicka 2-4, Wrocław
<i>piątek</i> 6.10.2017		<b>18:00</b> <b>20:00</b>	<b>„Ja i mój wróg” – prezentacje cz. I</b> <b>„Ja i mój wróg” – prezentacje cz. II</b> Występują: Jacek Hugo-Bader, Grzegorz Jankowicz, Zofia Król, Wojciech Kuczok, Tomasz Majeran, Miłka Malzahn, Vanda Rozenbergova (Słowacja), Janusz Rudnicki, Paulina Wilk, Krzysztof Varga; zapowiada Ścibor Szpak Teatr Muzyczny CAPITOL, ul. Piłsudskiego 67
		<i>Wrocław</i> <b>10:00-15:30</b>	<b>„Jak sprzedawać ambitną książkę?” – warsztaty dla księgarzy</b> Galeria BWA Dizajn, ul. Świdnicka 2-4, Wrocław
		<b>12:00–14:00</b>	<b>„Kanon widmo” – dyskusja (wydarzenie towarzyszące)</b> Grzegorz Jankowicz, Paweł Kaczmarzski, Marcin Kurek, Anna Pasikowska, Agata Polańska, Rafał Różewicz, Przemysław Witkowski, prowadzenie: Agnieszka Wolny-Hamkało Księgarnia Hiszpańska, ul. Szajnochy 5
<i>sobota</i> 7.10.2017		<b>16:00</b>	<b>„Ja i mój wróg – dyskusja”</b> Justyna Sobolewska, Zofia Król, Grzegorz Jankowicz, Michał Nogaś, prowadzenie: Agnieszka Wolny-Hamkało Galeria BWA Dizajn, ul. Świdnicka 2-4, Wrocław
		<b>18:00</b> <b>20:00</b>	<b>„Ja i mój wróg” – prezentacje cz. III</b> <b>„Ja i mój wróg” – prezentacje cz. IV</b> Występują: Kim Ae-ran (Korea Płd.), Sylwia Chutnik, Arantxa Iturbe (Kraj Basków), Michał Nogaś, Joanna Oparek, Justyna Sobolewska, Krisztina Toth (Węgry), Dimitri Verhulst (Belgia), Daniel Wisser (Austria), Jakub Żulczyk; zapowiada Ścibor Szpak Teatr Muzyczny CAPITOL, ul. Piłsudskiego 67
<i>niedziela</i> 8.10.2017		<i>Wrocław</i> <b>10:00–15:30</b> <b>17:00</b> <b>18:00</b>	<b>„Jak sprzedawać ambitną książkę?” – warsztaty dla księgarzy</b> <b>Spotkanie z Dimitrim Verhulstem</b> <b>„Problemski hotel” – projekcja filmu</b> Galeria BWA Dizajn, ul. Świdnicka 2-4, Wrocław